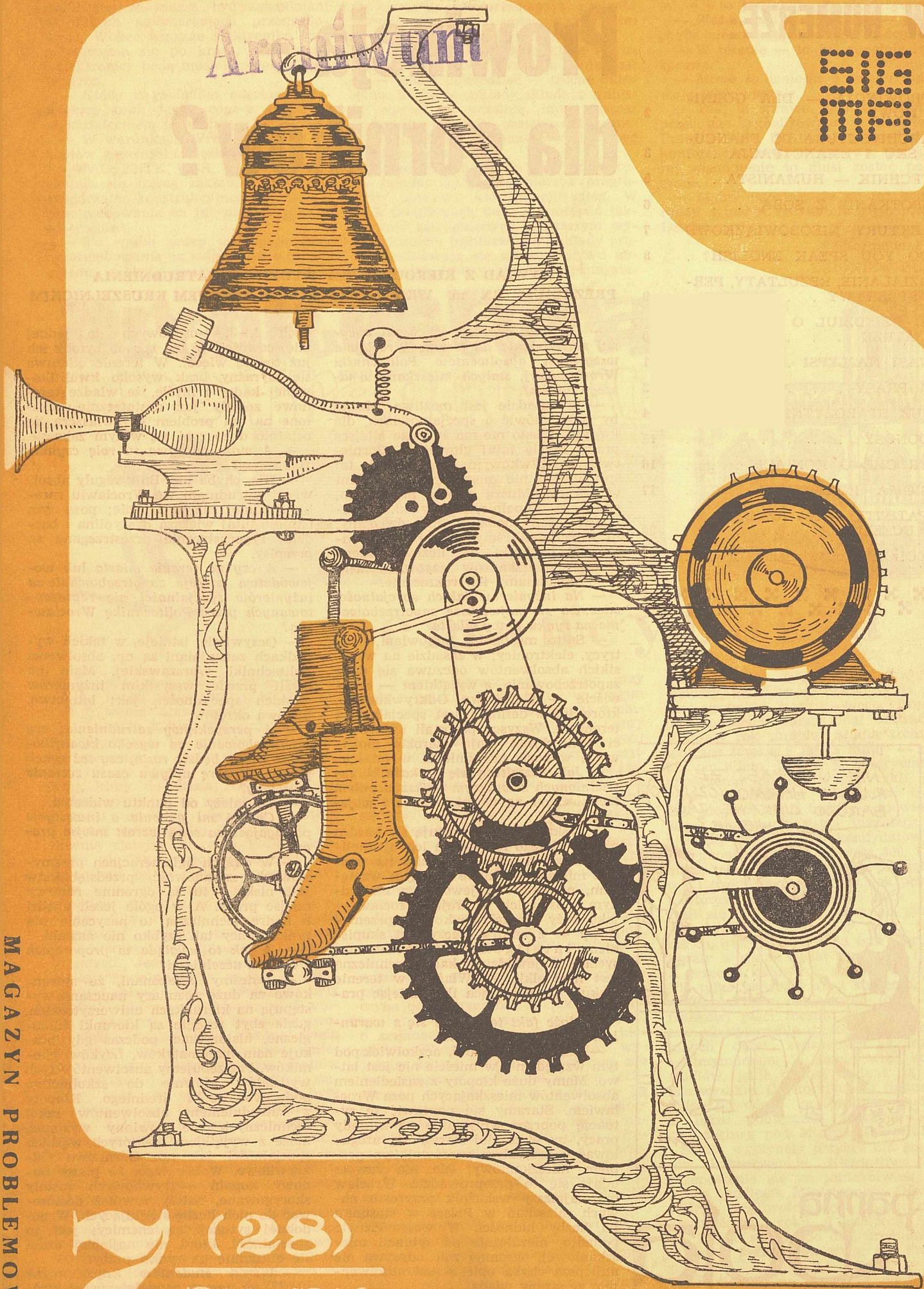
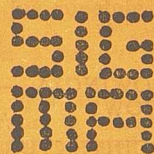




PROWINCJA — DLA GÓRNIKÓW?	2
ARCHITEKTURA PO FRANCUSKU I EMANCYPACJA	3
TECHNIK — HUMANISTA	5
SPOTKANIE Z SOBĄ	6
LEKTURY NIEOBOWIĄZKOWE	7
DO YOU SPEAK ENGLISH?	8
DZIAŁANIE, REZULTATY, PERSPEKTYWY	9
A. DZIEDZIUL O SWOIM TEATRZE	10
NASI NAJLEPSI	11
Z PRASY	12
JUŻ STAROŻYTNI	14
DONOSY	15
TROCHĘ O KONIACH	16
SIGMA INFORMACJI	17
PATENTY — NA RZECZ UCZELNI	20
KOLORY (opowiadanie)	21



panna
pola

Prowincja — dla górników?

WYWIAD Z KIEROWNIKIEM WYDZIAŁU ZATRUDNIENIA
PREZYDIUM RN m. WROCŁAWIA MGREM ZENONEM KRUSZELNICKIM

— Czy możliwe jest w chwili obecnej zatrudnienie na terenie Wrocławia wszystkich absolwentów Politechniki Wrocławskiej, stałych mieszkańców naszego miasta?

— W zasadzie jest możliwe. Można by tylko mówić o specjalnościach, dla których miasto nie ma żadnego miejsca pracy. Myślę tutaj głównie o Górnictwie Odkrywkowym. Absolwenci tej specjalności nie mogą być zatrudniani w mieście. Muszą szukać pracy tam, gdzie są kopalnie, odkrywki. Natomiast, jeżeli chodzi o inne dziedziny, to zatrudnialibyśmy więcej absolwentów Politechniki od liczby studentów — mieszkańców naszego miasta i — zatrudniamy ich rokrocznie.

— Na inżynierów jakich specjalności odczuwa się największe zapotrzebowanie na rynku pracy miasta?

— Są to: mechanicy, budowlani, elektrycy, elektronicy; w zasadzie na wszystkich absolwentów odczuwa się duże zapotrzebowanie, z wyjątkiem — oczywiście — Górnictwa Odkrywkowego, które już z definicji jest specjalnością terenową. Wszyscy pozostali absolwenci Politechniki mają szerokie możliwości wyboru zatrudnienia w mieście.

— Jak kształtują się wskaźniki zatrudnionych z wyższym wykształceniem technicznym na terenie miasta i województwa?

— Wskaźniki te kształtują się bardzo różnie, dlatego nie można ich ujednolicić; nasze miasto jest gdzieś na trzecim miejscu w Polsce pod tym względem, natomiast województwo na pierwszym z ostatnich w kraju. Wrocław — jako duży ośrodek naukowy i przemysłowy — z natury rzeczy jest skupiskiem inteligencji, natomiast nasycenie województwa kadrą techniczną jest niewielkie. — Właśnie w terenie wakuje przeważająca ilość miejsc pracy.

— Może fakt ten wiąże się z warunkami socjalno-bytowymi?

— Ma Pan słuszność, aczkolwiek pod tym względem i w mieście nie jest łatwo. Mamy duże kłopoty z zasiedleniem absolwentów mieszkających poza Wrocławiem. Staramy się poprawić tę sytuację poprzez wpływanie na zakłady pracy, by wcześniej starały się uregulować z przyszłym pracownikiem problem mieszkaniowy, ale nie zawsze udaje się to przeprowadzić. Wrocław ma najniższy wskaźnik przyrostu nowych mieszkań w Polsce w stosunku do liczby ludności. W województwie ponadto, niezależnie od sytuacji mieszkaniowej, ogromną rolę odgrywa nie najlepsza chyba opieka nad absolwentem ze strony władz.

Myślę, że byłoby dobrze, gdyby młodzi inżynierowie wybierali się w gru-

pach 2, -3, -4-osobowych do jednej miejscowości. W ten sposób byłoby ich już trochę więcej. W terenie odczuwa się wyraźny brak wysoko kwalifikowanej kadry i myślę, że władze terenowe zostały już dostatecznie uczulone na ten problem — zwłaszcza, że ostatnio dużo robi się w tym zakresie.

— A może odgrywa tu rolę czynnik finansowy?

— Nie, chyba nie. Bo z reguły absolwenci zatrudniani we Wrocławiu zarabiają mniej niż w terenie; poza tym istnieje tutaj większa dyscyplina i bardziej rygorystycznie przestrzegane są przepisy.

— A czy na terenie miasta lub województwa istnieje zapotrzebowanie na inżynierów specjalności nie reprezentowanych przez Politechnikę Wrocławską?

— Oczywiście, istnieje, w takich wypadkach zatrudniani są np. absolwenci Politechniki Warszawskiej. Mam na myśli przede wszystkim wąskich specjalności, jak: lotnictwo, budowa okrętów.

— A perspektywy zatrudnienia; czy zapotrzebowanie na wysoko kwalifikowane kadry będzie rosło, czy też rynek pracy w miarę upływu czasu zostanie nasycony?

— To zależy od punktu widzenia.

— Chodzi mi głównie o inwestycje pociągające za sobą wzrost miejsc pracy.

— W dużych aglomeracjach przemysłowych zmienność przedsiębiorstw jest niska i tu są ogromne rezerwy miejsc pracy. A w ogóle jeżeli chodzi o kadrę techniczną to nasycenie nią rynku pracy tak szybko nie nastąpi.

— A jak to wygląda w proporcjach z innymi uczelniami?

— Jesteśmy przekonani, że stosunkowo za duże rozmiary nauczania występują na kierunkach uniwersyteckich, gdzie zbyt rozdęte są kierunki filologiczne, historyczne, podczas gdy brakuje nam matematyków, fizyków, chemików. Potrzebujemy absolwentów tych wydziałów głównie do szkolnictwa podstawowego i średniego. Kłopoty z zatrudnieniem absolwentów szkół technicznych nie powinny wystąpić, może z wyjątkiem niektórych wąskich specjalności jak np. Górnictwo Odkrywkowe. Wobec tego, że plany budowy kopalń odkrywkowych zostały skorygowane, należy również dostosować do nich liczbę studiujących. W podobnej sytuacji są chemicy; jest to specjalność, która nie najlepiej czuje się aktualnie na rynku pracy.

— Wśród studentów krążą różne plotki na temat zatrudnienia elektroników; jak to właściwie wygląda?

— Proszę Pana, elektronicy przyzwy-

czaili się, że muszą być zatrudniani w dużych aglomeracjach przemysłowych. Wobec tego, że elektronika rozprzestrzenia się po kraju, siłą rzeczy i elektronicy będą musieli przenosić się w teren.

— Który z zakładów odczuwa największy brak fachowców z wyższym wykształceniem technicznym?

— W warunkach Wrocławia gros zakładów przemysłu ciężkiego, jak: PA-FA-WAG, ZNTK, WSK. W mieście uruchamia się szereg zakładów typu doświadczalno-konstrukcyjnego i dlatego zapotrzebowanie na inżynierów ogromnie rośnie.

— Na rynku pracy występuje duże zapotrzebowanie na inżynierów a jednocześnie zakłady pracy robią niewiele

w kierunku zainteresowania studenta przyszłym miejscem pracy; myślę w tej chwili o stypendiach fundowanych.

— Tak, po tej innowacji, którą wprowadzono rok, czy dwa lata temu jest tu — muszę powiedzieć — trochę bałaganu. Niektóre zakłady składają wnioski wprost na uczelnię, inne poprzez nadrzędne jednostki resortowe, bo przecież plan zatrudnienia powinien być dziełem resortu.

Muszę powiedzieć, że my już od roku żądamy od przedsiębiorstw programów poprawy kwalifikacji załóg. W tych programach musi się mieścić także ilość zatrudnionych z wyższym wykształceniem technicznym. Zakłady pracy spodziewają się także napływu absolwentów, którzy nie są stypendysta-

mi — i to jest chyba druga przyczyna.

— Weźmy pod uwagę teren — jest to chyba nieatrakcyjne miejsce pracy?

— W terenie — to już zupełnie inna sprawa.

— Mimo to wnioski z terenu wpływają także opornie.

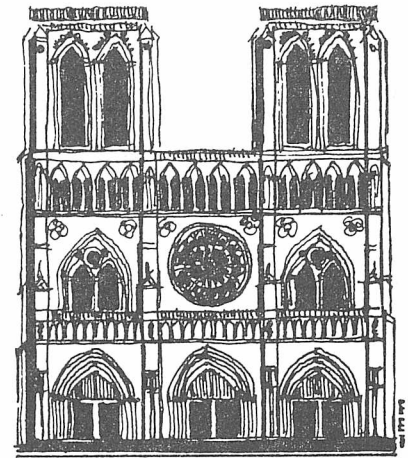
— Tak, ta sprawa była kilkakrotnie przez nas sygnalizowana w Komitecie Pracy i Płac. Niedługo ma się odbyć konferencja międzyresortowa, na której zagadnienie to musi zostać poruszone.

— Mamy nadzieję, że po tej konferencji sytuacja radykalnie się poprawi. Dziękuję.

Rozmawiał

ZBIGNIEW BUŁA

architektura po francusku



i emancypacja

Wydałoby się, że dwie tak różne na pozór sprawy jak studiowanie architektury i emancypacja kobiet nie mają ze sobą nic wspólnego. To prawda. Rzeczywiście nie mają — ale to u nas, w kraju, lecz nie we Francji. Właśnie Francja — kraj, który do dzisiaj występuje pod (zakurzonym już co prawda przez pyły historii) szyldem świątyni kultury i sztuki europejskiej, była i jest widownią zjawisk, które w Polsce określono by jako wręcz archaiczne. Ale zaczniemy od początku. Swego czasu cały świat z uwagą śledził przebieg wielkich strajków studenckich, które objęły całą Francję. Studenci żądali radykalnej zmiany systemu oświaty a w szczególności programu studiów wyższych. Jednym z najbardziej niewrażliwych punktów starego systemu oświaty sprzed czerwca 1968 roku były właśnie studia architektoniczne. I wtedy, w czerwcu studenci francuscy swoją walkę wygrali. Rząd dokonał wielu zmian w systemie oświatowym, zmienił między innymi program studiów architektury i innych kierunków studiów, które w swej strukturze były tworami mocno trącymi średniowieczem. Ale czy to, co zmieniono we Francji w systemie studiów w 1968 roku, to wszystko co było rzeczywiście do zrobienia? Co na ten temat sądzą francuscy studenci dzisiaj, po trzech latach od tamtych wydarzeń?

Aby odpowiedzieć na te pytania, cofnę się o kilka miesięcy wstecz. Jest luty 1971 roku. Trwa jeden ze zwykłych dni obozu wypoczynkowo-szkoleniowego „Ideologia 71”, zorganizowanego w Górzyniu przez ZU ZMS Politechniki Wrocławskiej. W małym pokoju hotelowym jest tylko kilka osób: dwój-

ka Węgrów gwarzących wesoło przy stole z polskim studentem i w drugim rogu pokoju — dwie studentki architektury z Francji — Jeanneek Lanry (V rok) i Marie-Christine Ray (I rok) oraz mój tłumacz i ja. Siedzimy wygodnie na niskich hotelowych łóżkach. Na niebieskim chodniku poustawiane beładnie między naszymi nogami szklanki ze złotawym winem. Zostaje przedstawiony jako przedstawiciel studenckiej prasy. Jeszcze przez kilka minut toczy się rozmowa na jakiś banalny temat, ale wszyscy wiemy, że za chwilę będziemy rozmawiali o bardzo poważnych sprawach.

Wreszcie rzucam pierwsze pytanie: chodzi mi o system oświatowy Francji, przed i po czerwcu 1968 r. Jeanneek uśmiecha się, widocznie była przygotowana na to pytanie, które niewątpliwie zadawano jej już w naszym kraju. Zaczyna od zastrzeżenia, że jako studentka architektury może mówić tylko o zmianach, które zaszły na tym kierunku. Widząc moje zdumienie, wyjaśnia, że we Francji architektura nie jest jednym z wydziałów uczelni technicznej, tak jak to jest w Polsce. Są tam samodzielne tzw. wyższe szkoły architektury, które nie podlegają nawet Ministerstwu Oświaty, tylko Ministerstwu Sztuki. Jeanneek i Marie-Christine są właśnie studentkami takiej szkoły w Nantes. Następnie opowiada o tym, jak było PRZED czerwcem.

System oświaty we Francji był znany ze swego zacofania w stosunku do wielu innych państw europejskich. Jednym z kierunków objętych najbardziej archaicznymi prawami była architektura. Absolwent szkoły średniej, który chciał studiować architekturę, musiał naj-

pierw przejść 2-letni kurs przygotowawczy, na który dostawał się na drodze egzaminu konkursowego. Dopiero po ukończeniu kursu mógł zdawać na pierwszy rok studiów. Studia architektoniczne trwają 6 lat: 3 kursy — zwykle po 2 lata. Można je przerywać po ukończeniu każdego z tych cykli, przy czym zakończenie wszystkich trzech daje dopiero tytuł będący odpowiednikiem naszego magistra inżyniera. Na pierwszy rok na 1500 kandydatów nie przyjmowano nigdy powyżej 300. I pomimo tak małej liczby osób przyjętych, rok I traktowano jako tzw. rok próbny, z którego odpadało około 50%. Zdarzali się tacy, którzy zaczynali studiować architekturę 5 razy. Było wielu takich, których studia na tym kierunku trwały w sumie 10 lat a nawet i 15 (!). A przecież każdy rok studiów kosztuje. Nie tylko państwo, ale i studenta, który oprócz tzw. wpisowego (około 300 franków) płaci rocznie 50 franków na tzw. ubezpieczenie społeczne oraz wiele innych opłat związanych z nauką i utrzymaniem. W sumie więc koszty studiów, jakie ponosi student, są bardzo wysokie. Często sytuacja finansowa była powodem przerwania studiów. Z faktu podlegania wyższych szkół architektury pod Ministerstwo Kultury i Sztuki wypłynęły przykre dla studentów konsekwencje. Niemożliwe było przenoszenie się na jakiegokolwiek inne studia, podległe Ministerstwu Oświaty. Jedyną możliwością było zacząć nowy kierunek od I roku. A lata leciały! Sprawa ta nie została do dziś uregulowana i prawo takie obowiązuje we Francji nadal.

Równie dziwne prawa obowiązywały przy zdawaniu pracy dyplomowej. Podstawowym warunkiem kwalifikującym

ją do oceny było to, aby w sumie miała ona 16m² papieru. Ani centymetra mniej! Tak więc profesor po otrzymaniu pracy rozkładał ją na specjalnej tablicy arkusz obok arkusza, a następnie mierzył skrupulatnie długą linią. Ten wątpliwy w swej sensowności rytuał stał się tak ważnym elementem oceny prac dyplomowych, że zapanała psychoza robienia prac na ilość papieru, a nie na jakość samej pracy. Rozpanoszyło się efekciarstwo. Prace wykonywane przez dyplomantów były obszerne, kolorowe, uduchowione i nadawały się do wszystkiego, tylko nie do praktycznej realizacji. Inną sprawą, która pachniała skandalem, był fakt stanowiący przysłowiową tajemnicę Poliszynela, iż profesorowie sprzedawali co ciekawsze prace pod swoimi nazwiskami, biorąc pieniądze do swojej kieszeni.

Po czerwcowych strajkach w 1968 r. zmieniono i naprawiono sporo, ale na pewno nie wszystko, co trzeba było naprawić. W systemie studiów wyższych szkół architektury zniesiono przede wszystkim 2-letnie kursy przygotowawcze. Postawiono na dużą większą efektywność studiów, zlikwidowano przede wszystkim metodę traktowania I roku jako „próbego”. Radykalnie zostały zmienione kryteria oceny prac dyplomowych młodych architektów, gdzie za podstawę oceny przyjęto realne i praktyczne wartości prac, a nie blichtr i efekciarstwo. Swoistą demonstracją, podkreślającą radykalność zmian w tym zakresie był fakt, że dyplomanci w okresie zaraz po wydarzeniach czerwcowych oddawali swoje prace robione na ... papierze gazetowym i kreślone ołówkiem stolarskim (!). Była to ich wyraźna reakcja na zerwanie z architekturą kolorowych, ale nikomu niepotrzebnych obrazków.

Oprócz wyższych szkół architektury zreformowano także szkolnictwo średnie oraz takie kierunki studiów jak: medycyna, prawo, szkoły pomaturalne etc. Summa summarum zrobiono więc sporo, ale — niestety — w czasie walki o powyższe reformy i później, w czasie ich dokonywania, pominięto i zignorowano zupełnie problem, którego zasięg wykracza daleko poza sprawy oświaty i który stał się dawno jednym z najbardziej nabrzmiałych problemów życia społecznego Francji. Chodzi mianowicie o emancypację, o anormalną jak na poziom współczesnej cywilizacji pozycję kobiety w społeczeństwie francuskim.

W tym momencie dziewczęta wyrażnie się ożywiają. Jestem trochę zdumiony wagą tego problemu, o którego istnieniu nikt u nas specjalnie dużo nie mówił. Pytam więc o konkretne objawy dyskryminacji kobiet, o konsekwencje wynikające z tego dla kobiet uczących się, studiujących. I co się okazuje?...

We Francji istnieje do dziś bardzo mocny, choć nieprawny, a tradycyjny podział na zawody dostępne i niedostępne dla kobiet. Ta druga lista zawodów, gdzie kobieta jest uważana za swoiste curiosum, jest dużo większa i obejmuje wszystkie zawody techniczne, gros specjalizacji medycznych, prawo i wiele innych (a nawet zawód kierowcy). W efekcie dziewczęta zdające mimo wszystko egzaminy na studia techniczne, czy medyczne — mają dużo mniejsze szanse ich ukończenia niż chłopcy. Tu Jeanneck podaje przykład ze swojej szkoły w Nantes; na 5 latach, na których jest przeciętnie po 130 studentów — studiuje łącznie

11 dziewcząt, z czego 8 na pierwszym roku (który powstał już po reformie szkolnictwa)! Tradycja we Francji przeznaczyła również zawód architekta wyłącznie dla płci brzydkiej. Tak więc wykształcenie techniczne mogą zdobyć we Francji tylko te silne jednostki płci pięknej, które potrafią się oprzeć panującą na uczelniach francuskich przesadom. Ogólnospołeczny efekt tej sytuacji we Francji jest następujący: na 1000 techników przypada tylko 28 kobiet; na 1000 inżynierów — 16 kobiet; na 100 kobiet pracujących 13 posiada kwalifikacje zawodowe. A starania w kierunku uzdrowienia tej sytuacji posuwają się w prawdziwie żółtim tempie. Marie-Christine twierdzi, że dzieje się tak dlatego, iż ludźmi na wysokich stanowiskach, którzy się tymi sprawami zajmują, są najczęściej mężczyźni. Zwracam jej uwagę, że ci panowie na wysokich stołkach mają przecież żony, które są najczęściej ... kobietami.

Chwila odprężenia. Zapalamy papierosa (tradycyjnego, polskiego „Sporta”). Dziewczęta nalewają wino. Zerkam na zegarek; rozmawiamy już dobre 2 godziny a chciałbym dowiedzieć się jeszcze wielu innych ważnych rzeczy. Pytam więc szybko o system praktyk zawodowych i system stypendialny w szkolnictwie francuskim.

Od lewej: Jeanneck Lanry (V rok), Marie-Christine Ray, Antoni Styszyński — w czasie kolacji w stołówce obozowej



Praktyki zawodowe są popularne na wszystkich uczelniach całej Francji i odbywają się w formie bardzo podobnej do naszych. Ale — niestety — i tu swoje przykre konsekwencje posiada sprawa tradycji w stosunku do kobiet. Otóż studentki z Nantes przyjechały na obóz do Górzynca na zaproszenie ZU ZMS w celu podpisania umowy o wakacyjnej wymianie studentów... ale nie tylko. Jednocześnie załatwiano sprawę odbywania przez studentki architektury z Nantes ich praktyk zawodowych u nas w kraju. A powód? Powód jest prosty: francuskie firmy nie chcą zatrudniać na praktykach kobiet — architektów. Studentki więc mają minimalne szanse odbycia swych praktyk we Francji. Sprawa przedstawia się tak poważnie, że uczelnia w Nantes zgodziła się, by studentki francuskie odbywały swe praktyki w Polsce i aby u nas były one rozliczane.

System stypendialny obowiązujący w wyższych uczelniach Francji został ostatnio zmodyfikowany na korzyść studentów, ale stypendiów wciąż jeszcze jest mało i nie każdy, kto na stypendium zasługuje, może je otrzymać. Średnio na 180 studentów przypada 30 stypendiów. Studenci domagają się podniesienia tej liczby. Wartość stypendium waha się w granicach 400—1400 franków, przy czym tych najniższych jest aż 20. W wyniku tej sytuacji i wysokości kosztów utrzymania studentów jednym z czynników determinującym skład jakościowy społeczności studenckiej jest zasobność finansowa rodzin. Element, którego rangę u nas zredukowano już do minimum, we Francji jest jeszcze ciągle aktualny, a efekty są następujące: w Wyższej Szkole Architektury w Nantes z ogółu studentów tylko 1% stanowi młodzież pochodzenia robotniczego a 0,1% — chłopskiego! Tak więc młodzież robotniczo-chłopska jest praktycznie odcięta od możliwości zapewnienia sobie egzystencji na wysokim poziomie, jaką stwarza np. zawód architekta. A zarobki architekta we Francji są naprawdę wysokie. Po pięciu latach pracy dochody wynoszą do 7500 franków (dla porównania — zarobki robotnika wysoko kwalifikowanego wynoszą około 1200 franków, nauczyciela lub asystenta na uczelni — 2000 franków, naukowiec na

stanowisku kierownika katedry — 5000 franków).

Zanim student jednak dojdzie do tego celu zapewniającego mu wysoki standard życiowy, musi pokonać wiele trudności piętrzących się przed nim w niedoskonałym wciąż jeszcze systemie szkolnictwa. Szczególnie chodzi tu o dziewczęta. Nasze koleżanki z Francji jeszcze nie wiedzą, jak potoczą się ich losy po otrzymaniu dyplomu. Jedno jest pewne, że będzie trudno, dużo trudniej niż ich kolegom, że będą musiały swoją pracą, zdolnościami i sukcesami walczyć z tradycją pozbawiającą ich prawa do odpowiedzialnych i trudnych zawodów. A swoją drogą... trochę to wstyd, że w państwie, gdzie narodziła się idea społecznej równości, kultywuje się wciąż elementy trochę tureckich zasad w stosunku do kobiet.

TOMASZ WIELICKI

technik- = humanista

Humanizm można porównać z wielkim gmachem, wzniesionym przez człowieka, w którym — powtarzając za Przybosiem — „każda cegła spoczywa na wyjętej dłoni”.

Pod kopułą tego gmachu powstaje wszystko to, co jest z ludzi i służy ludziom, więc: język, literatura, sztuka, nauka, technika itd.

Zawiła konstrukcja tej kopuły, pod którą urealniamy się sanktuarium człowieka, jest wytworem jego myśli, wyobraźni, czyli nauki i sztuki. Budowę tego przybytku powierzono narzędziom, którymi obdarza symbioza nauki i sztuki — technice. Tak wyrosła niebiosiężna (księżycza ... i dalej!) cywilizacja, której opoką jest instynkt, a która wieńczy coraz wyżej wynoszony rozum. „Ograniczona” litą skałą jaskinia pierwotnych ludzi „rozrywana” tysiącami lat ... jest teraz przestrzenią, która sięga już innych planet.

Jedni dostrzegają w przerastającym ich otoczeniu znamiona wszechwładnego kultu techniki, inni świadczą jej całkowitą ignorancję.

W prądach czasu ścierają się osobowości, charaktery — ludzie; nawarsztwiają się sprzeczności.

Były i będą antagonizmy, które — skądinąd wiadomo — są motorem postępu; antagonizmy, które dają impuls kreacji.

Technika pozwala ludziom na twórcze przetwarzanie przyrody, umożliwia panowanie nad naturą, nad światem, ale nie może sama panować nad człowiekiem. Maszyna dysponująca nawet esencją tego wszystkiego, na co mogła się zdobyć myśl człowieka, jest i pozostaje tylko narzędziem woli człowieka, w wypadkach skrajnych — imitator.

Poza zasięgiem „doskonałych” maszyn pozostaną zawsze uczucia, marzenia, ambicje, pasje, namietności oraz inne symbolizujące serce i duszę określenia, które w sumie dopiero dają pełną i godną nazwę człowieka.

Na granicy między człowiekiem a maszyną stoi niedostępny mur wyobraźni, który przekroczyć można wyłącznie z jednej strony.

Z kolei, będąc nawet pod wrażeniem apokaliptycznej wizji — wszechwładnych robotów, nie sposób wyobrazić sobie wyłączności w rozwoju sztuki, kosztem nauk technicznych, jeśli przy-

pomni się smutny obraz człowieka cofniętego w erę jaskiniowej wegetacji.

40 tysięcy lat temu, w prymitywnych warunkach, przy zastosowaniu elementarnych technik, powstawały dzieła sztuki, które współczesnym kierunkom dają przykład piękna, proporcji, wy-czucia...

40 tysięcy lat później, w rozwijającej się w postępie geometrycznym cywilizacji, technika, przerastając zdolności percepcyjne ich twórców, wymyka się spod kontroli, niszcząc źródła swego rozwoju.

Technokracja — realny wytwór sprzeczności między humanistyką a techniką, „produkt uboczny” postępu, którym „społeczeństwo przemysłowe”, zdegradowane duchowo, tłumaczy swoje cele w imię panoszącej się technologii i techniki.

Przeciwko krótkowzrocznym poczynaniom technokratów można przeciwstawić wyłącznie rację techników z prawdziwego zdarzenia. Techników, którym nieobce będą porywy wyobraźni kierowanej myślą zaczerpniętą z głębokich studni wiedzy. Jest to szansa wyjątkowa. Szansa, która pozwala możliwości techników — jak nigdy dotychczas — wykorzystać najpełniej. Nigdy nie było — poza światem fantazji — takiej możliwości, jaką stwarza cybernetyka, inżynieria genetyczna, podbój kosmosu, itd.

Dawno już dojrzało i częściowo zawoocowało stwierdzenie, że model wyższej szkoły technicznej powinien ulec zmianie, że w większym stopniu niż dotychczas należy wdrażać — obok umiejętności technicznego myślenia (nie chciałbym nazywać — „ściśłego”) — wiedzę, dającą podstawy do szerokiego i twórczego spojrzenia na całokształt życia i środowiska człowieka.

Jednakże rzeczywistość daje jeszcze jeden przykład tego, że obowiązek przyswajania wiedzy humanistycznej spełniany może nawet — jak to bywa w obowiązkach — poprawnie, nie prowadzi w konsekwencji do żadnych rezultatów, jeśli zamyka się tylko i wyłącznie w granicach obowiązku.

Przeświadczenie o niezbędności, odczucie zapotrzebowania na wiedzę humanistyczną rodzi się wewnątrz i uświadamia w miarę postępu (paradoksalne) przyswajania wiedzy technicznej. Tylko, że (!) musi być jakiś impuls tej potrzeby. Tedy, pomijając

wrodzone predyspozycje i uwrażliwienie jednostek, koniecznym staje się zorganizowana akcja przybliżania tych wartości, które nagromadziła cywilizacja z jej wizytówką — estetyką.

Pozostaje otwartym problem sposobu przekazania istniejącego systemu wartości, norm estetycznych; zachowania ciągłości kulturowej itd. Jest to problem istotny, ponieważ tradycyjne metody tzw. inicjacji (wtajemniczania młodzieży przez starszych), zdają się zdewaluowane z uwagi na... szalony postęp i ciągle zmiany warunków bytowania i związanej z nimi ogólnej kultury. Takie pesymistyczne ujęcie problemu jest jednakże wyłącznie bodźcem dyskusji, nie ma na celu sugerowania wniosku, że skoro nie można zdążyć z przyswojeniem obowiązujących form kulturowych — gdy tymczasem postęp stworzył już nowe — to w rezultacie nie ma sensu przyswajania czegokolwiek, bowiem zawsze będzie już po czasie.

W takim sformułowaniu można zamknąć wyłącznie własną słabość, można zaprzeczyć tylko sobie.

Wertując gruby foliówkę rozwoju myśli ludzkiej, pisany przez kilkadziesiąt wieków, dowiadujemy się, że najprostsze, najmniej skomplikowane wynalazki inicjowały lawinę pomysłów, rozwiązań, którymi współcześnie można się szczycić, tak u podstaw przemian kulturowych, obyczajowych leżą elementarne dzieła, przejawy geniuszu wyobraźni, doświadczone przeżyciem — załázky form, którymi karmi się literatura, muzyka, plastyka.

Potrzeba swobody w realizowaniu własnych zamierzeń musi nieść wynikić z więzów, którymi wieki rozwoju kultury obarczyły współczesnego człowieka — i to jest prawda, z którą godząc się — nie wyczuwamy jej obecności — jest bowiem w nas.

Takim sposobem można pozbyć się ignorancji, z jaką odnosi się technika wobec humanistyki i odwrotnie. Ignorancji, powstałej w okresie nasilającego się rozwoju jednej lub drugiej dziedziny.

Młódzieży unika „szerokich wód”, przejawia tendencje do zamykania się w ciasnym kręgu zainteresowań partykularnych, pozbawiając się tym samym ambicji myślenia całościowego. Tłumaczy się „zaborczością” studiów, które jednoznacznie określają kierunek ich pracy, zainteresowań, tym samym kształtują życie. Racje, chociaż w części, pozostają słuszne, bowiem są to racje grupy, której profil był już poprzednio ukazany — tych, którzy ślepo idą drogą wytyczoną przez kierunek studiów.

Pozbawienie argumentów, którymi szafuje się powszechnie leży w kompetencji uczelni, w zmianach ich profilu nauczania, jednym zdaniem: w pokazaniu takiej drogi kształcenia, która prowadząc w krainie myśli nie ominie krainy wyobraźni.

ANDRZEJ SAJ



SPOTKANIE Z SOBĄ



Jadwiga Halicka

Człowiek — cudowna istota, zwierzę, słaby okrucieństwa materii zagubionej na peryferiach wszechświata, przyrody władca, pan świata potężny i kapryśny a zarazem zupełnie bezbronny, kiedy stanie wobec siebie, twarz w twarz z własnymi problemami; kiedy próbuje odpowiedzieć na najbliższe z nurtujących go pytań... to cudowne być człowiekiem... być człowiekiem to okropne — słyszy

się często. Poza ową kokieterią kryje się głęboki dramat, tragiczna jego konieczność i próba przeskoczenia tego wszystkiego własną trywialnością. Wydawało się niektórym, że prawda leży gdzieś porzucona... dlatego opuszczając rodzinę wólczyli się po świecie i u schyłku życia — zamiast ją odnaleźć — pogłębili tylko swoją niepewność, rzucając nadal pozostałe bez odpowiedzi pytanie: „Skąd przybywamy, kim je-

steśmy i dokąd zdążamy?”. Inni znówu myśleli — oderwać się od ziemi, zwalczyć siły przyciągania, te fizyczne związki, pempowinę łączącą z ziemią a tam pod gwiazdami znajdziemy ukrytą prawdę... I cóż z tego?

Pytania nadal drgają w powietrzu, rezonują trwożnie i zachęcająco, a my przechodzimy często obok; często nie mamy czasu ani ochoty trudzić się nad odpowiedzią. Pochłania nas bezmyślny kołowrót współczesnego życia, gonimy efemeryczną chwilę pseudoradości, kąpiąc się w blasku szkła, neonów i chromowanych klamek lśniących lakierem samochodów. Niekiedy wystarcza nam odrapany autobus, lub chroboczący tramwaj, który chociaż kulawo, ale goni, dogania umykający w naszej wyobraźni czas.

Nie zmieni niczego, czy się godzimy na powyższy stan rzeczy czy też nie, bo i tak ziarno gdzieś kiedyś rzucone w naszą jaźń nadal rozrasta się nieustannie w wielkie drzewo niepokoju o żywiołowo powyginanych konarach a wszystko, co czynimy, jest w głównej mierze ucieczką przed samym sobą.

Więc bez przerwy uciekamy — umykamy sobie, wywijamy się... Lecz są różne formy ucieczki, czy ujęcia, jak kto woli. A jedną z nich jest właśnie sztuka; sztuka niekoniecznie, zapisywana złożonymi głóskami, niekoniecznie składająca się z dużych liter; sztuka niejednokrotnie intymna, osobista, szczera, może czasami naiwna, ale z całą pewnością autentyczna.

Taką właśnie sztukę — moim zdaniem — uprawia Jadwiga Halicka.

Z malarstwem Jadwigi Halickiej czytelnik Sigmy zetknął się zapewne na licznych wystawach nieomal we wszystkich salonach wystawowych Wrocławia także na wystawie indywidualnej w klubie Rady Zakładowej w Gmachu Głównym naszej Uczelni. Nie ulega kwestii, że jest to malarstwo osobiste i bardzo kobiece; malarstwo bardziej intuicyjne niż kontemplacyjne, a przede wszystkim, jak już zauważyłem uprzednio, bezwzględnie szczere, pozbawione tanich efekciaków i złudnego blichtru łatwizny. Świat kreowany przez artystkę — to obszar intymnych spostrzeżeń; drobnych, zdawałoby się niejednokrotnie banalnych, sytuacji, które wyalienowane z akcji codziennego życia, ukazują jakże czasami ważne i istotne treści. Artystka malując jak gdyby spotyka się z sobą. A spotkania te — co chyba najważniejsze — zawierają nutę radości, niepokoju i odrobiny tragizmu. Każdy obraz to jakby lustro, czarodziejska płaszczyzna, na której raz po raz ujawniają się przeżycia, odbicie własnych pragnień, niepewności, odbicie własnej osobowości. Właśnie — odbicia! Ten świat nierealny w powierzchni lustra-obrazu, lustra-osobowości. Sprawa tych odbić

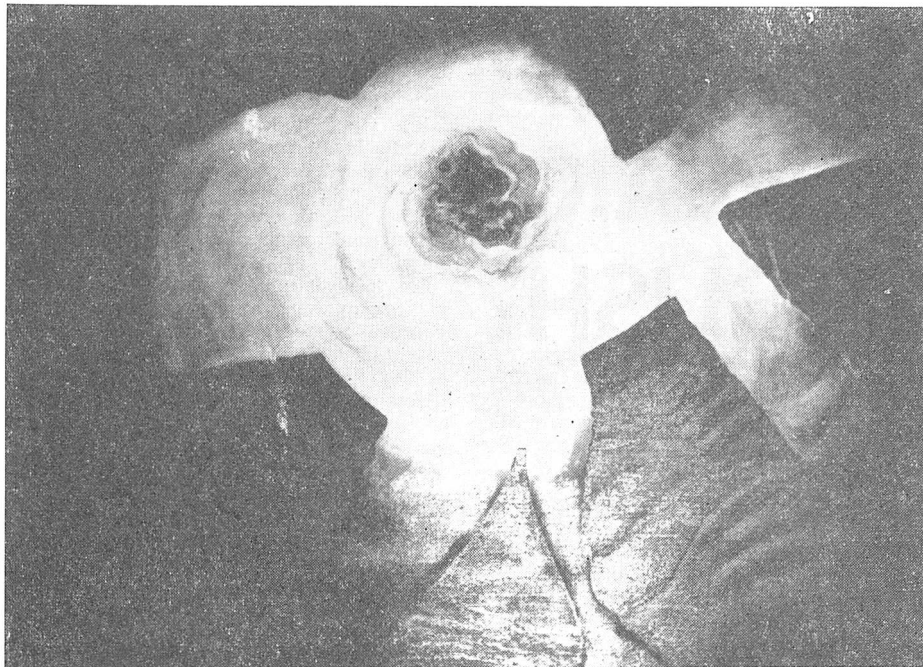
J. Halicka, Spotkanie z sobą



przelewała się często podczas mojej rozmowy w pracowni artystki. Tam właśnie nasunęły mi się owe porównania z lustrami. Jadwiga Halicka bowiem obserwuje świat poprzez nie — ruch uliczny ukazuje jej się w wystawowej szybie, ludzie z kolejki w sklepie, wreszcie ona sama widzi siebie w oszklifowanej płycie ludy, czy na szybie chłodniczej szafy. A więc początek niesłychanie prosty, wręcz trywialny, bo przecież zbieranie odbić..., ale to tylko pretekst, motyw podrażniający miejsce, w którym dochodzą do głosu sprawy związane z osobowością artystki, bo potem przychodzi chwila, kiedy staje twarzą w twarz z nagą powierzchnią płótna i wyczarowuje świat na miarę swojej osobowości.

Jest jeszcze jeden moment w twórczości Jadwigi Halickiej; to moment ruchu od wewnątrz, prędkość, pęd, który spiralnym wirem wyrzuca wszystko — tak myśli, jak i przedmioty — raz poza obręb własnej osobowości, drugi raz poza społeczność, poza ziemię, poza galaktykę, poza kosmos w nieskończoność.

SLAWOMIR HULANICKI



J. Halicka, Czyname



STYLIZACJA NA WIEJSKOŚĆ

Coraz częściej mam wrażenie, iż termin „język literacki” w odniesieniu do literatury pięknej jest terminem pustym — stylizacji w zupełności zawładnęły językiem współczesnej beletrystyki. Język zdaje się być znakiem rozpoznawczym obecnie, kiedy wydają się być wyeksploatowane inne, przede wszystkim treściowe i problemowe odrębności.

Zyta Oroszyn wystylizowała swoją debiutancką powieść¹ „na wiejskość” — wiejskość pojętą w sposób ekwiwalentny — no bo jeśli tematyka i realia rodem „z ziemi”, to i język posiadać musi ten sam rodowyd. Czy ten sposób rozumowania pisarskiego jest właściwszy — zostawiam do rozstrzygnięcia czytelnikowi. „Najada” jest powieścią napisaną z temperamentem, interesująco skonstruowaną, a przede wszystkim wyposażoną w wyraziste sylwetki bohaterów.

Główny wątek utworu — to narodziny miłości pomiędzy Marychną — posażną w „morgi” córką energicznej wdowy i Sawką — podrzutkiem, pracownikiem państwowej tuczarni świń. Na tym tle autorka dokonuje trafnej analizy przemian zachodzących we współczesnej wsi polskiej, ukazuje tzw. „konflikt pokoleń”, odkrywa przed czytelnikiem — w doskonałe skonstruowanych monologach wewnętrznych (pisanym w trzeciej osobie): Marychny, jej matki i Sawki — raczej w określonym postępowaniu, i stosunku bohatera do otoczenia. Pisarka stara się w sposób umotywowany ukazać konieczność po-

trzeby drugiego człowieka, w sposób trafny i przekonujący przedstawia problem lęku przed samotnością. Powieść cechuje duża dojrzałość a znajomość wiejskich realiów, użytych jako tworzywa, dobrze świadczy o zmyśle obserwacyjnym debiutantki. Osobiście niepokoi mnie język — po prostu ta „wiejska stylizacja” w partiach narracyjnych — szczególnie wtedy, gdy formą jest wypowiedź w trzeciej osobie, wydaje się sztuczna i mało funkcjonalna.

STYLIZACJA NA MIEJSKOŚĆ

Mam wrażenie, że stylizowany na miejsko-środowiskową potoczność język opowiadań Janusza Głowackiego w dużej mierze przyczynił się do popularności tego debiutującego w roku 1968 „Wirówką nonsensu” młodego prozaika. W „Wirówce nonsensu” był to język bananowców i pseudointelektualistów; w „Nowym tańcu la-ba-da”² Głowacki rozszerza swoje penetracje rodzajowe o środowiska nowomieszczańskie i technokratyczne. Cztery opowiadania składające się na tom — to cztery różne ujęcia jednego, zasadniczego problemu: kabotyństwa.

W „Polowaniu na muchy” (na kanwie tego opowiadania Głowacki napisał scenariusz do filmu o tym samym tytule, reżyserowanego przez Andrzeja Wajdę) studentka filologii polskiej swoją ekscentryczną, przjętą zgodnie z modą postawą, próbuje z niewydarzonego urzędnika, zahukanego dodatkowo przez rodzinę, uczynić „wziętego” tłumacza literatury rosyjskiej (ma on ukończone — co wciąż z dumą powtarza — siedem semestrów filologii rosyjskiej).

„Ból gardła na dwóch” — to dwie równoległe opowiedziane historie, z których w jednej bohaterem jest „urodzony w niedzielę” Heniek, a w drugiej — sfrustrowany urzędnik Paweł. Między bohaterami następuje tylko jedno zetknięcie...

Opowiadanie tytułowe — to rozpisana na wiele głosów historia jednego z ekskluzywnych balów sylwestrowych. Spośród wielogłosowej relacji najdobitniej ujawnia się relacja zaszczutego przez tzw. „opinię publiczną”, z gruntu

uczciwego, a tym samym naiwnego działacza partyjnego.

Tom kończy „Kuszenie Czesława Palka”. Bohaterem jest czterdziestoletni student Wyższej Szkoły Inżynierskiej dla Pracujących, mocno poszkodowany przez „awans społeczny”. Jest to szczególnie rodzaj kabotyństwa ogłupionego przez „szerokie możliwości awansu” przy absolutnym braku predyspozycji intelektualnych. Jego miłość do żony swojego wykładowcy — zbławowanej i mocno zaniedbywanej seksualnie przez męża-kobieciarza — budzi zarazem litość jak i niesmak.

Swoimi przejawskrawionymi stylizacjami osiąga Głowacki efekty nadzwyczaj trafne w obyczajowej penetracji środowisk, które są ubocznym produktem (a może nie tylko) nowej sytuacji społecznej.

STYLIZACJA NA STYLIZACJĘ

Zazwyczaj prozę pisaną przez poetów odbieram poprzez pryzmat ich poezji, co wytwarza dodatkowe trudności w jej percepcji i interpretacji. Stanisław Pasternak jest autorem dwóch tomów poezji: „Słowa i rzeczy” oraz „Modlitwa o Annę”, toteż tom jego opowiadań³ w pewnym sensie nawiązuje do problematyki podjętej w wierszach. Poeta próbuje poprzez stylizację odświeżyć język kreowanej (w ścisłym tego słowa znaczeniu) przez siebie prozy, co w efekcie tworzy nową — w sensie estetycznym — jakość stylizacyjną. Język prozy Pasternaka wchodzi w twórcze związki syntaktyczne, odcina się zdecydowanie od tak zwanego języka potocznego, tworzy intelektualną nadbudowę przekazywanej problematyki.

Opowiadania zebrane w tomie można podzielić (przyjmując konstrukcję za cechę podziału) na trzy części: quasi — realistyczną („Rów”, „Nieznajoma”, „Dwie chwile”, „Koń”); funkcyjną („Człowiek za biurkiem”, „Brama”, „Czarny pies”, „Okno”) i „klimatyczną” („Świat ciągnie się w kierunku lotu”, „Trzecia linia”).

Ta różnorodność świadczy o poszukiwaniach najwłaściwszej formy artystycznej wypowiedzi, świadczy o du-

dokończenie na str. 19

DO YOU SPEAK ENGLISH?

ciąg dalszy

Niech za punkt wyjścia do dalszych rozważań i sugestii nad nauką języka obcego posłuży konwersacja. Jakie warunki muszą być spełnione, aby mogło dojść do wymiany zdań, do dialogu? — Abstrahując od skrajności (przypadków, kiedy możemy mówić do siebie samych) zakładamy, że potrzebny jest mówiący i słuchający (nadawca i odbiorca). Jest oczywiste, że w toku rozmowy role te stają się wzajemnie wymienne. Kolejnym warunkiem podstawowym będzie przedmiot rozmowy, no i ten sam system, jakim posługują się obaj rozmówcy, tj. ten sam język.

Powszechnie panuje przekonanie, że język składa się ze słów, że znajomość języka należy oceniać ilością opanowanego słownictwa. Twierdzenie to na tyle jest prawdziwe, na ile np. bezładnie, czy w porządku alfabetycznym

ułożone części samochodowe są samochodem. Skądinąd wiemy, iż mimo braku np. wycieraczek do szyb, samych szyb itp., samochód jedzie. Inaczej dzieje się jednak, gdy brakuje jakiegoś układu (systemu), albo kiedy funkcjonuje on nieprawidłowo. Może jest to nieco przypadkowa analogia, wydaje się ona jednak dość jednoznacznie i dobitnie podkreślać pewne bardzo istotne zjawiska.

Język jest więc pewnym systemem, w którym wytworzyły się swoiste zależności. Systemy te charakteryzuje indywidualna specyfika i w zależności od tego, w jakim stosunku dane języki pozostawały do siebie na przestrzeni wieków, dochodzą w nich do głosu różne stopnie różnicowania.

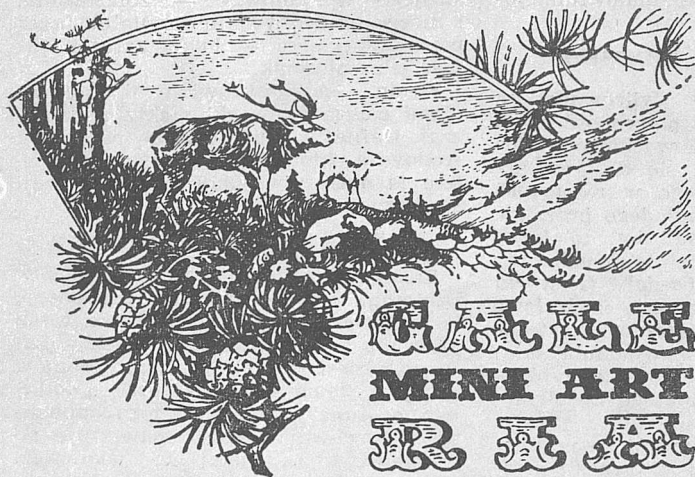
Naszym zadaniem nie jest — oczywiście — ani przedstawienie rysu historycznego interesujących nas języków, ani ustalenie różnic i podobieństw między nimi. Istotne natomiast wydaje się tu stwierdzenie, że cel, jakiemu służyły i służą wszystkie języki jest jeden: funkcja komunikatywna. Właśnie ta „równość” między językami pozwala na przekładanie (tłumaczenie) z jednego języka na drugi. Jest to jednakże proces prosty wyłącznie pozornie. Dla dobrego tłumaczenia niezbędna jest zdolność poznania obiektywnej rzeczywistości poprzez dany język obcy a następnie wyrażenia jej w języku drugim. Optimum to osiągalne jest wyłącznie poprzez długie i wszechstronne obcowanie z danym językiem obcym.

Odpowiednio do faktu, że w rzeczywistości mamy do czynienia z różnie ukształtowaną i odpowiednio zmienioną w czasie „materią”, znajdujemy w języku odzwierciedlenie zależności przed-

miotowo-czasowych; nadto istnieją zależności między samymi przedmiotami. Do już wymienionych dodać należy zależności ilościowe i jakościowe.

Takie spojrzenie na rzeczywistość pozwoli nam niechybnie na lepsze zrozumienie pewnych zadań, jakie stoją przed językiem. Całe słownictwo (leksyk) języka musi przejąć funkcję nazywania i „oddania” tych zależności. Sposób, w jaki to następuje, jest dla każdego języka indywidualny, co stanowi jedną z głównych trudności w swobodnym posługiwaniu się danym językiem obcym. Opanowanie jakiegoś języka obcego jest równoznaczne z przyswojeniem sobie właściwych mu „nawyków”. Generalnie można wyszczególnić dwie sfery podstawowe tych „sprawności”: sferę fonetyczną i strukturalną. Słownictwo (leksyk) traktujemy jako jednostki warunkujące istnienie języka, ale dzięki ich teoretycznie niezorganizowanej substytucji (wymienności) i mnogości, odgrywają one w charakterystyce danego języka rolę drugoplanową. Istotne są natomiast jednostki, czy struktury, które tworzą (oczywiście również tylko okresowo) systemy zamknięte. Tak jest z dźwiękami obciążonymi funkcjonalnie w danym języku (fonemami) a także ze strukturami, których liczba i jakość są właściwe dla poszczególnych języków. Dobre opanowanie tych właśnie systemów warunkuje a jednocześnie gwarantuje dobrą znajomość języka. Bariera różnego typu zależności, które zaczynają tutaj współwystępować i wzajemnie na siebie oddziaływać, nie jest jednak łatwa do pokonania ani teoretycznie ani praktycznie.

AKRIM

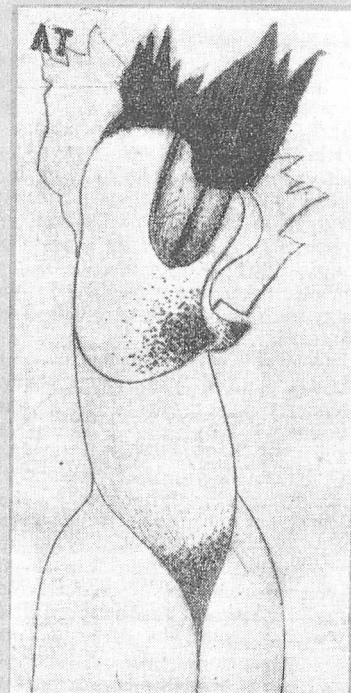


ex libris

Jerzy Łazarz-Czerniawski jest studentem IV roku grafiki w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych we Wrocławiu. Ma już za sobą pierwszą wystawę malarstwa, które — wspólnie z pracami Bartka Małysy — ekspozycja w październiku ub. r. w klubie studenckim „Pałacyk”.

Exlibrisy opracowuje dopiero od roku a pomimo tego ma ich już w swojej tece kilkadziesiąt. Najczęściej wykonuje je w technice akwaforty, linorytu i suchej igły. Niemal wszystkie są wielobarwne.

Jerzego
Czerniawskiego



DZIAŁANIE, REZULTATY, PERSPEKTYWY...

Rozdział historii naszego społeczeństwa, obfitujący w tragiczne wydarzenia grudniowe, mamy już za sobą, jak również okres naprawy najdotkliwszych jego skutków. Powstały konflikt między władzą i obywatelami, zanikanie więzi między klasą robotniczą a partią zostały rozładowane i powstrzymane a obecnie, po szeregu rozstrzygnięciach politycznych i ekonomicznych nastąpił czas na stworzenie programu opartego na szerokiej, autentycznej konsultacji społecznej i wcielenie go w życie. Wspólnym obowiązkiem partii oraz innych organizacji masowych — a w tym związków zawodowych — jest zagwarantowanie warunków wyzwalających siły twórcze każdego obywatela oraz ukazanie realnych możliwości rozwoju naszego kraju w kierunku dalszego postępu. Leży to w naturze każdego człowieka, a na pewno w mentalności naszego społeczeństwa, że godzi się na ofiary i wyrzeczenia w doraźnych potrzebach, lecz musi widzieć perspektywę (i to nie mierzoną na dziesiątki lat) poprawy swojej sytuacji bytowej. Stąd też bierze się konieczność zaufania do polityki partii i rządu, takiej polityki, która opiera się na faktach niosących realną szansę poprawy.

W szerokim nurcie odnowy biorą udział wszystkie instytucje i organizacje. Dokonuje się analizy metod i osiągnięć dotychczasowego działania, wysnuwa się wnioski na przyszłość. Stało się to możliwe i sensowne dzięki nowemu klimatowi politycznemu powstałemu po uchwałach VII i VIII plenum KC PZPR. Prawie w każdym środowisku pracowniczym widoczna jest ewolucja nastrojów i postaw — od niepokoju i pewnej bierności do powrotu optymizmu i chęci działania. Objawy niepokoju i wyczekiwania na dalszy bieg wypadków widoczne były także w społeczności Politechniki Wrocławskiej, lecz dzięki energicznemu działaniu kierownictwa Uczelni, aktywu partyjnego i związkowego, nie został zakłócony ani tok pracy, ani też nie było żadnych nierozważnych wystąpień bądź incydentów. Co więcej — w wystąpieniach i dyskusjach na zebraniach partyjnych i związkowych pracownicy nie tylko wysuwali szereg istotnych postulatów, lecz akcentowali swoją solidarność z polityką ukierunkowaną na demokratyzację i poprawę warunków bytowych. Na podkreślenie zasługują natychmiastowe reakcje na nową sytuację Rady Zakładowej ZNP przy Politechnice Wrocławskiej, która — nie czekając na instrukcje instancji ogólnych — powzięła cały szereg kroków zmierzających do rozwiązania spraw dotychczas nie załatwionych, lecz bardzo ważkich dla prawidłowego funkcjonowania i dalszego rozwoju Uczelni, bądź takich, które, chociaż o mniejszym znaczeniu, miały wpływ na utrzymanie właściwej atmosfery wśród pracowników.

Oto już 26. I. br. Rada Zakładowa skierowała pismo do Zarządu Głównego ZNP prosząc o niezwłoczne zajęcie się

sytuacją prawną i płacową grupy pracowników sprzątaczek, cytując: „brak przepisów i podstaw prawnych ustalających normy, brak pozytywnej reakcji ministerstwa na wielokrotne sygnały o trudnościach stąd wynikających, a przede wszystkim niesprawiedliwie niskie zarobki doprowadziły do powstania w tej grupie pracowniczej wielkiego rozgoryczenia, żalu, poczucia krzywdy i lekceważenia ich”. Niestety z żalem należy stwierdzić, że nie doczekaliśmy się odpowiedzi, tak jak to zresztą było dotąd w tej sprawie, natomiast przyszło nieoczekiwane pismo-zarządzenie Ministra Oświaty i Szkolnictwa Wyższego, prof. H. Jabłońskiego, częściowo tylko rozstrzygające ten problem. Jednak i to pismo nie reguluje w całości spraw tej grupy pracowników, czemu dała wyraz przewodnicząca ich Rady Oddziałowej na zebraniu plenarnym Rady Zakładowej w dniu 4. III br.

Chęć włączenia głosów jak najszerszego aktywu związkowego w ogólny nurt działalności i dalszy tok dyskusji organizacji związkowej ZNP, a szczególnie jego ogniw centralnych, podyktowała pisemne zwrócenie się Rady Zakładowej do Zarządu Głównego i Zarządu Okręgu ZNP. W piśmie tym z dnia 2. II. br. poruszono kilka najważniejszych spraw:

- zapewnienia zwłaszcza młodszemu pracownikom naukowym i kandydatom do pracy w Uczelni lepszego uposażenia płacowego oraz mieszkan;
- zwrócono jeszcze raz uwagę na sytuację prawnopłacową pracowników obsługi Uczelni;
- unormowanie strony prawnej całokształtu organizacji służby BHP w szkolnictwie wyższym i uporządkowanie sprawy dodatków za pracę w warunkach szkodliwych dla zdrowia;
- zapewnienie emerytom świadczeń w postaci odpraw emerytalnych oraz umożliwienie korzystania im ze zniżek kolejowych.

Oczywiście, są to tylko niektóre z długiego rejestru istotnych spraw sygnalizującego konieczność ingerencji czynników ogólnych. Rada Zakładowa oceniając realnie sytuację, w zakończeniu pisma podaje: „Zdajemy sobie sprawę, że w obecnej sytuacji gospodarce Kraju nie możemy oczekiwać natychmiastowej realizacji naszych propozycji, ale uważamy jednak, iż winny się one znaleźć w długofalowym programie pracy ZNP”.

W odpowiedzi, na którą niedługo trzeba było czekać (20. II. br.), przewodniczący Sekcji Nauki wiceprezes Zarządu Głównego ZNP, prof. Janusz Chechliński stwierdził całkowitą zgodność naszych propozycji w zakresie kierunków pracy Związku z programem pracy Zarządu Sekcji Nauki i obiecał przedstawić stan realizacji wymienionych w naszym piśmie spraw „przy pierwszym nadarzającym się kontakcie”. A więc czekamy...

Jak już podawałem wyżej, w dniu 4 marca br. odbyło się posiedzenie plenarne Rady Zakładowej Politechniki Wrocławskiej, którego porządek dzienny obejmował przede wszystkim dwie bardzo ważne sprawy:

- informację o aktualnej sytuacji w kraju;
- informację o działalności nadrzędnych instancji związkowych.

Jako zaproszeni goście przybyli: członkowie Prezydium Zarządu Gł. ZNP, Prezes Zarządu Okręgu ZNP kol. F. Śmiałek, członek Prezydium Sekcji Nauki ZG ZNP kol. S. Kaleta, sekretarz KU PZPR tow. A. Klich.

O aktualnej sytuacji w kraju mówił tow. A. Klich, który wychodząc ze słusznego założenia, iż podstawowe fakty są wszystkim obecnym znane ze środków masowego przekazu, ograniczył się do kilku zasadniczych stwierdzeń. Podkreślił, że wypadki grudniowe nastąpiły nie tylko na skutek zmiany cen, lecz głównie z powodu zerwania więzi między kierownictwem partyjnym i państwowym a klasą robotniczą. Odnowa w naszym kraju jest możliwa, jeśli nastąpi ugruntowanie demokracji, która w kraju socjalistycznym jest niezbędna. Wyjaśnił, na czym polega ta niezbędność, po czym zapowiedział szczegółowe odpowiedzi na pytania.

Na wstępie informacji o działalności związków zawodowych kol. prezes Rady Zakładowej, dr E. Wnuczak zapoznał zebranych z treścią pism i memoriałów wysłanych do Zarządu Okręgu i Zarządu Głównego ZNP.

Z kolei głos zabrał kol. F. Śmiałek, który uczestniczył w posiedzeniach plenarnych ZG ZNP i CRZZ (XX, na którym nastąpiły zmiany personalne, m. in. objęcie funkcji przewodniczącego CRZZ przez tow. Kruczkę i odwołanie tow. Logi-Sowińskiego oraz XXI, w którym uczestniczyli przedstawiciele większych zakładów produkcyjnych). Kol. F. Śmiałek bardzo obszernie poinformował o dyskusjach, jakie miały tam miejsce. Dyskusja była ostra, twarda, krytykowane kierownictwo CRZZ, przede wszystkim za nieudolność we wcielaniu w życie uchwał związkowych a zwłaszcza VI Kongresu, które ze wszech miar odpowiadają naszym celom. Podkreślano biurokratyzowanie działalności związkowej, przejmowanie przez CRZZ kompetencji związków branżowych. Na szczególne podkreślenie zasługuje podjęcie uchwały na XXI plenum CRZZ o powołaniu specjalnej komisji dla opracowania zmian organizacyjnych i strukturalnych wewnątrz związkowych, w tym głównie umocnienie niższych ogniw związkowych. Zarząd Główny ZNP przygotowuje dwa dokumenty: pierwszy dotyczy wybranych spraw pracowników (socjalne, płacowe) nauczycieli i młodej kadry naukowej. Prace rozdzielono na dwa rozdziały: pierwszy do załatwienia od zaraz i drugi perspektywiczny (płace, które w szkolnictwie średnim i wyższym są np. niższe o 430 zł od średniej płacy administracji publicznej, a o 1000—

1500 zł niższe od pracowników inżynierów-technicznych w przemyśle). Na ten temat odbyły się już wstępne rozmowy prezesa ZG ZNP, kol. Walczaka z tow. Edwardem Gierkiem i premierem Piotrem Jaroszewiczem. Drugi dokument, przygotowany dla pracowników obsługi — opracowany jest już wstępny projekt — wymaga jeszcze uzupełnień i dopracowania oraz konsultowania m. in. z Radą Zakładową Politechniki Wrocławskiej. Na posiedzeniu plenarnym ZG ZNP przeanalizował swoją pracę i stwierdził, iż program w zasadzie był słuszny, zmienione muszą być tylko formy tej pracy. Niewłaściwy jest również podział pracy między Związkiem a administracją: należy też bardziej skutecznie egzekwować wykonywanie obowiązków przez administrację.

W uzupełnieniu informacji kol. St. Kaleta podzielił się z zebranymi kilkoma uwagami z wyżej wymienionych posiedzeń, m. in. stwierdził, że aby zapoczątkowany proces odnowy mógł być skutecznie realizowany, należy dokładnie określić, i położyć nacisk na trzy płaszczyzny działania:

- rozważanie teoretyczne miejsca Związku w ustroju socjalistycznym, jego stosunek do organizacji partyjnych i państwowych;
- Związek musi podjąć działania praktyczne, ma kontakt z szerokimi rze-

szami członkowskimi i ma obowiązek przekładać wszystkie potrzeby i nabrać problemów przed władzami państwowymi;

- demokratyzacja Związku i wzmocnienie stanowiska plenum wobec prezydium i sekretariatu da rzeczywiste poczucie szeregowym członkom, że jest to ich związek.

W dyskusji zabrało głos szereg osób, m. in. kol. D. Adamus zwróciła uwagę, że w memoriale do ZO i ZG ZNP pominięto nieuregulowaną dotąd sprawę lektorów języków obcych i nauczycieli wychowania fizycznego, którzy nie mają statusu pracowników naukowo-dydaktycznych i wskutek tego nie mogą korzystać z wielu istotnych praw.

Trudno byłoby cytować wypowiedzi wszystkich dyskutantów, dlatego ograniczę się tylko do przedstawienia jeszcze wypowiedzi kol. Młotkowskiego, który zwrócił uwagę na konieczność wysuwania odpowiednich żądań odolnych, gdyż tylko to może spowodować jakąś reakcję. Kol. Śmiałek odpowiadając na ten postulat wyjaśnił, że jest już opracowany szczegółowy program działania ZNP z podziałem zadań i konkretnymi adresami. W naszym resorcie brak na razie odpowiednich zarządzeń, natomiast te, które wydano ostatnio, często nie idą z duchem czasu a niekiedy nawet z literą prawa.

Warto jeszcze przedstawić odpowiedź

tow. A. Klich na pytanie o gwarancję tego, że nie wrócą stosunki sprzed 20 grudnia ub. roku. Jakże, poza słowem tow. Gierka są gwarancje? Tow. A. Klich odpowiedział, że żadne słowa nie mogłyby być pełną gwarancją, gdyby nie były poparte konkretnym działaniem. Jeśli za słowami nie pójdą zmiany w systemie zarządzania i kierowania. Należy stworzyć takie instytucje, bądź — jeśli już istnieją — ożywić je, które by uniemożliwiły powrót do starego. Jest w obecnej sytuacji odpowiedni klimat, aby wprowadzić zmiany systemu, od wszystkich obywateli zależy więc, aby zapoczątkowany proces odnowy mógł być właściwie kontynuowany.

Tow. E. Gierek na warszawskiej konferencji PZPR (12, 13. III. br.) powiedział: „W okresie od VII plenum KC podjęliśmy decyzję o dużej doniosłości społecznej i ekonomicznej, służą one doraźnej poprawie sytuacji materialnej ludzi pracy i stwarzają realne perspektywy w tym kierunku. Wyczerpują one jednak aktualne nasze możliwości, a właściwie nawet je przekraczają. (...) Szereg spraw podejmujemy i będziemy je rozwiązywać w miarę jak dzięki pracy całego narodu powstaną możliwości. Bądźcie co do tego drodzy towarzysze przekonani”.

Członek Rady Zakładowej
ROMUALD MALINOWSKI

A. Dziedziul o swoim teatrze



Andrzeja Dziedziula spotkałem na tzw. studenckim fivie zapoznawczym dla studentów Politechniki i Uniwersytetu, którzy w ramach ZMS-owskiej akcji „Ideologia-71” rozpoczęli swoje obozy w Górzyni i Michałowicach. Dziedziul skończył przed chwilą swój półgodzinny występ, w którym jedynymi jego rekwizytami była stara gitara i gong. Jednak mimo tak ubogiej scenerii wypełnił swą grą i oryginalnymi tekstami całą salę, prowokując studencką publiczność do gromkich wybuchów śmiechu. Siedzimy teraz przy stoliku w gustownie urządzonej sali schroniska, wypełnionej gwarem studenckiego ubawu.

— *Panie Andrzeju — jest Pan jako aktor, twórca i reżyser swoich spektakli zjawiskiem oryginalnym i jedynym w swoim rodzaju w naszym świecie teatralnym. Teatr, który Pan uprawia, jest zarówno teatrem jednego aktora jak i teatrem lalkowym i właściwie żadnym z nich sensu stricto. W jaki sposób doszedł Pan do takiej właśnie formy i koncepcji swego teatru?*

— Podstawową chyba zasadą koncepcji,

w jakiej staram się tworzyć swój teatr, jest próba znalezienia dla każdego spektaklu formy odpowiadającej mu w sposób najpełniejszy, bez zachowania jakichkolwiek zbędnych konwencji teatralnych. Obowiązuje więc tu zawsze rezygnacja ze wszystkiego co nie jest konieczne dla aktora ani — tym bardziej — dla widza przy odbiorze danej sztuki. Jednym z pierwszych efektów tej zasady jest oszczędność w liczbie osób występujących na scenie — czyli właśnie teatr jednego aktora. Dlaczego właśnie jednego aktora? Po prostu w wielu przypadkach użycie innej osoby byłoby mi zupełnie zbędne. W tej chwili robię właśnie spektakl z kilkoma osobami, które w gruncie rzeczy są autentyczną dekoracją. Są to lalki żywe w środku. Nie znaczy to absolutnie, że ich wartość w sztuce jest w jakiś sposób degradowana. Wręcz przeciwnie — rzekłbym nawet, że ich rola jest ważniejsza od mojej, gdyż więcej mówią swym milczeniem niż ja w tekście, a w sumie — dalej nie wychodzimy z ram teatru jednego aktora. Teatr ten jest maksymalną rezygnacją

ze wszystkiego co nie jest konieczne, czyli maksymalną oszczędnością środków wyrazu, a pomimo tego (zresztą może właśnie dlatego) jest teatrem dającym duże możliwości w dziedzinie ekspresji spektaklu.

— *No dobrze, ale skąd w Pańskim teatrze lalka? Czy ten martwy człowieczek, któremu odbiera pan mowę i który traci przez to właściwie swoje „ja” w obrazie teatralnym — czy ten człowieczek — jako partner-rozszerza Panu jako aktorowi pole działania, daje nowe możliwości improwizacyjne?*

— Owszem, ale nie tylko o to chodzi. Jest rzecz ważniejsza, która spowodowała mnie do wprowadzenia na scenę lalek. Otóż widzi pan, ja często rozmawiałem z młodymi ludźmi, takimi w wieku 16—17 lat na różne tematy dotyczące życia w ogóle. I wie pan, najczęściej próba poprowadzenia dyskusji kończyła się stwierdzeniem młodego znudzonego człowieka „A co mnie to właściwie obchodzi?”. To jest prawda. Tym młodym ludziom bardzo trudno jest w tym co się dzieje na scenie znaleźć jakiś odnośnik do ich rzeczywistego życia. Wydało mi się, że w każdym spektaklu teatralnym widzę szuka czegoś dla siebie, a może wręcz siebie wśród granych postaci, próbuje dopasować do swego własnego świata refleksje powstające u bohaterów sztuki, ale jest to zawsze trudne, gdyż w każdej postaci tkwi bardzo dużo samego aktora w sensie jego nastroju w danej chwili, interpretacji tekstu, czyli po prostu tej indywidualności, którą jest obdarowany każdy żywy człowiek. Dlatego zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że aktor zupełnie przecięt podświadomie może stać się zbyt obcym dla widza, jak to się mówi — nie trafić do niego. I właśnie to niebezpieczeństwo w dużej mierze eliminuje lalka. Jest ona tworem zupełnie neutralnym, martwym psychicznie i przez to bardziej przystępnym dla widza, który nie obawia się teraz wejść pod samą lalkę

i szukać tam siebie, korzystać z refleksji i doświadczeń małego, martwego bohatera. Dlatego zestawienie „aktor + lalka” wydaje mi się bogatsze niż sam aktor — człowiek.

— *Pańskie spektakle opierał pan na wielu różnorodnych tekstach, w których zdarzały się powiązania tak odważne, jak Cervantes i Grochowiak, ale wydaje mi się, że wybierał Pan świadomie zawsze takie teksty, których ładunek refleksyjny mieścił się już w problemach naszego współczesnego życia.*

— Tak zwana historiozofia w literaturze nie jest nam dziś już potrzebna. Niepotrzebne jest przeciętnemu człowiekowi grzebanie się w problemach nie będących naszymi problemami. Ta literatura to już muzeum samo dla siebie. A jakże często słyszy się zdania o młodych twórcach posiadających zdrowe ambicje: „Co oni robią z tą literaturą? To wariackie przerabianie, to profanacja dzieł” itd. Takie zdania są zupełnie nonsensowne. Bo przecież odpowiednia interpretacja literatury nie jest żadnym przerabianiem, ani tym bardziej profanacją a tylko wyjęciem tego dzieła z muzeum i włożeniem go w życie. W nasze współczesne życie. W ten sposób oddaje się wielką usługę

autorom dzieł, które stają się nieśmiertelne często dopiero dzięki młodym twórcom. W swoich spektaklach często staram się w dość swobodnej interpretacji wydostać z dzieła to, co jest już raczej jego refleksyjną kwintesencją. Spektakl oparty na „Don Kichocie” Cervantesa, o którym pan wspominał, był tylko komentarzem do samego „Don Kichota”.

— *Teatr jednego aktora stał się ostatnio bardzo popularny, szczególnie dzięki swoim festiwalom. Jak Pan ocenia poziom tego teatru w Polsce?*

— Powiem krótko. Ma on wszelkie szanse, by zejść na niski poziom. Powodem tego są przede wszystkim dziwne kryteria, jakimi kierowało się w ocenie jury ostatnich festiwali. Preferowano wyraźnie spektakle firmujące się dużą ilością kokieterii skierowanej w stronę jury i publiczności. Ciekawe spektakle, pozbawione skazy efekciarstwa, były wręcz dyskryminowane. Miałem okazję z boku obserwować Festiwal Małych Form w Szczecinie. To zdanie, będące nie tylko moim, ale i wielu ludzi parających się teatrem — sprawdziło się jeszcze raz. Konieczne jest więc uzdrowienie tej sytuacji.

— *Może na zakończenie pytanie, które z reguły wieńczy każdy wywiad z ak-*

torem: czy zdarzyło się Panu kiedyś coś w rodzaju wyspy aktorskiej?

— Sytuacji takich było tak wiele, że nie bardzo wiem, którą wybrać. Może najtrudniejszą dla mnie wyspą był spektakl, w którym scenograf miał umieścić u góry nad sceną pointę całej sztuki, która to pointa miała dopiero w finale zjechać w dół i ukazać się publiczności. Mniej więcej w połowie spektaklu rozległ się za mną straszliwy huk. Obejrzałem się i zobaczyłem — o zgrozo! — że słabo przymocowana pointa spadła na scenę. Byłem w kropce. Przede mną jeszcze połowa tekstu, a cała pointa już leży. Proszę sobie wyobrazić, że musiałem tak improwizować, by dojść w końcu do zupełnie innej pointy. Pod koniec usłyszałem tylko, jak ktoś na sali powiedział głośniej do kogoś: „Ten koniec chyba nie z tej sztuki, chociaż zresztą kto ich tam wie”. Ale proszę pana, teraz ja mam pytanie: co to jest „Sigma”?

— „Sigma” jest magazynem Politechniki Wrocławskiej.

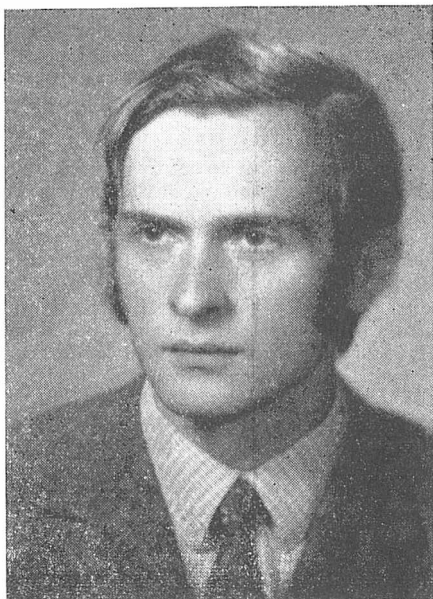
— To wiem, ale co oznacza to słowo?

— To matematyczny znak sumy.

— Acha, to macie straszną nazwę (przynajmniej jak na gust humanisty).

Rozmawiał: TOMASZ WIELICKI

NASI NAJLEPSI

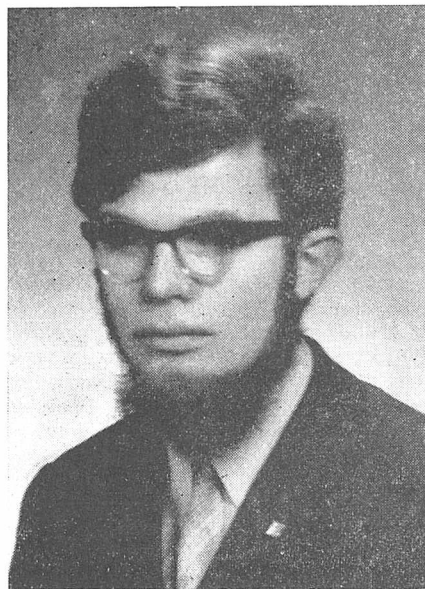


Najlepszym studentem spośród chemików Instytutu Inżynierii Chemicznej i Urządzeń Ciepłych został wybrany w roku akademickim 1969/70 kol. Lechosław GLĄDEK. Może się on wylegitymować nie tylko dobrymi wynikami w nauce, ale i dużą aktywnością społeczną.

Przez cały okres studiów związany był z organizacją ZMS pełniąc kolejno funkcje wiceprzewodniczącego, przewodniczącego Koła Roku, członka Zarządu Wydziałowego na Wydziale Chemii, kierownika Wydziału Propagandy Zarządu Uczelnianego, wiceprzewodniczącego do spraw propagandy i ostatnio — wiceprzewodniczącego ZU ZMS do spraw szkolenia.

Obecnie, jako stażysta w swoim Instytucie, uczęszcza na trzyletnie Studium Doktoranckie. Z tematów naukowych interesuje się szczególnie aspektami zastosowania podstawowych nauk ścisłych w inżynierii chemicznej. Cel, jaki stawia sobie w swej działal-

ności społecznej w Uczelni — to aktywizacja środowiska akademickiego, nakłanianie studentów, żeby w całości włączyli się w realizację podstawowych celów ustrojowych. Uważa, że najbardziej szkodliwą rzeczą jest marazm, stagnacja i skostnienie. Sam broni się przed stabilizacją, która mogłaby doprowadzić go do stania w miejscu.



Średnia z egzaminów 4,63 (w tym z ostatnich 4 sesji: 5,0) — to wyniki, które pozwalają ustawić Andrzeja Waclawa SOKALSKIEGO, studenta V roku Instytutu Chemii Fizycznej w grupie naszych najlepszych. Obrazują one jednak zaledwie część jego sukcesów.

Andrzej jest stypendystą naukowym w swoim Instytucie. Od kilku miesięcy pisze pracę dyplomową z dziedziny chemii kwantowej, opierającą się na kwantowych obliczeniach, przy pomocy maszyn cyfrowych, pewnych właściwości biologicznych niektórych ważnych związków, wchodzących w skład DNA.

Odnosi też swoje pierwsze zwycięst-

wa na polu naukowym. Na IV Ogólnopolskim Seminarium Studenckich Kół Naukowych w Gdańsku za referat „Rozszerzona metoda Hückel’a i jej zastosowania w chemii organicznej” otrzymał nagrodę II stopnia.

W SN-ie pracuje od 1967 roku — początkowo jako członek zarządu, a później jako sekretarz Koła Naukowego Chemików.

Nie jest to zresztą jedyna forma jego działalności społecznej. W ZSP pełnił dotąd funkcje: pełnomocnika RW ZSP do spraw SSP „Robot”, przewodniczącego Komisji Nauki RW ZSP, wiceprzewodniczącego RW ZSP, przewodniczącego RI ZSP, kierownika Sekcji Języków Obcych w Komisji Nauki RU ZSP.

Ostatnio zainicjował bardzo ciekawą akcję, organizując usługi tłumaczeń obcojęzycznych dla studentów całego środowiska wrocławskiego.

Od października 1970 roku jest członkiem PZPR. Interesuje się współpracą organizacji partyjnej z organizacjami studenckimi.

Jako opiekun Komitetu Członkowski Politechniki zabiega o stworzenie studentom możliwości pracy w zakresie ich specjalności zawodowych.

Sam pragnie w przyszłości zajmować się rozwijającą się dopiero najnowocześniejszą dziedziną chemii — chemią kwantową. Najbardziej pasjonuje go idea przewidywania metodami teoretycznymi własności związków chemicznych.

Za znakomite wyniki w nauce i pracę społeczną był dwukrotnie nagradzany nagrodami JM Rektora.

Praca społeczna, chemia kwantowa nie stanowią jednak jego jedynych zainteresowań. Hobby Andrzeja — to jazz, języki obce, urządzenia stereoфонiczne, kolekcjonowanie nagrań. Nie lubi natomiast bezmyślności i biurokracji, które uniemożliwiają przeprowadzenie słusznych ze społecznego punktu widzenia inicjatyw. Jego zasada — to życiowy maksymalizm: „Nie chcę rezygnować z żadnego z aspektów życia kosztem pozostałych” — powiedział mi w krótkiej rozmowie.



UCZYĆ SIĘ OD DIABŁA, LUB NAWET OD McNAMARY

„...fas est ab hoste doceri...” (warto
uczyć się i od wroga)

Owidiusz

Co doceniając warto zwrócić uwagę na propozycje Andrzeja i Stefana BRATKOWSKICH wyłożone w słynnym cyklu artykułów pod wspólnym tytułem „Gra o jutro”, drukowanym w „Kulturze” a następnie w obszerniejszym ujęciu w postaci słynnej już książki (dziesięciolecie — jak twierdzą niektórzy), pod tym samym tytułem. Wśród wielu frapujących treści można znaleźć tam także coś o zarządzaniu wielkimi programami, czyli coś dla nas.

Książkę — oczywiście — należy przeczytać (uprzednio ją gdzie wyblagawszy — bo śmiesznie niski nakład zniknął zanim się pojawił). A że warto, łatwo się przekonać z przytoczonego krótkiego fragmentu jednego z rozdziałów, gdzie pojawia się słynna metoda PPBS, której idea ujęta przez autorów formułą CELE—KOSZTY—ŚRODKI — wydaje się być bardzo na czasie.

„Legenda związała przemiany w Pentagonie z nazwiskiem McNamary. Nie bez racji — to Robert Strange McNamara może uchodzić za „żywy komputer”, swego rodzaju maszynę do myślenia: nie tylko ze względu na zdumiewającą pamięć, również ze względu na mniej pociągające właściwości; „jest w obojętności z ludźmi oschły, uznaje tylko fakty i liczby...” — pisał o nim „Business Week”, a są to określenia delikatne, bo ludzie od Forda, gdzie pracował piętnaście lat, przypisują mu wprost „nieczułość, zarozumiałstwo i egoizm”, ba, nawet „absolutny brak jakichkolwiek ludzkich cech”, co jednak trzeba traktować *cum grano salis*, gdyż McNamara trzymał się z daleka od kręgu towarzyskiego menedżerów Fordowskiej korporacji, mieszkał w dzielnicy starych domów uniwersyteckich miast w jednej z will Gross Point, „ich” przedmieścia w Detroit, i uchodził za intelektualistę.

Jego kariera jest symptomatyczna. Do wojska poszedł jako dwudziestopięcioletni wykładowca kontroli statystycznej jednego z czterech najznamienitszych amerykańskich uniwersytetów, Harvardu; nie powąchawszy prochu, dosłużył się podczas drugiej wojny stopnią podpułkownika, ucząc w armii logistyki; tuż po zakończeniu wojny McNamara i dziewięciu innych jego rówieśników młodych współpracowników, specjalistów kontroli statystycznej, kupił „na pniu” dwudziestosiemioletni wtedy Henry Ford II, który właśnie wyrwał z rąk swego dziada władzę nad śpiącą się korporacją i podjął wymianę jej kierownictwa w sytuacji, gdy niewiele brakowało, by zarządzanie Fordem przekazano Studebakerowi... Te Wielkie Porządki przyniosły skutek, ale dziesiątki tysięcy ludzi, powyżej wieku 43-45 lat uznanych za starców,

poszło na ulicę; była to „czystka” pełna okrucieństwa i w takich właśnie okolicznościach rozpoczynali swe kariery „whizz-kids”, co się na polski nie w pełni ściśle wyklada „cudowne dzieci” („whizz” znaczy dosłownie coś w rodzaju „hoho, ale kozak”). W dzień po zwycięstwie Johna Kennedy’ego w wyborach prezydenckich 1960 roku McNamara został prezesem Ford Motor Co. Miał wtedy lat czterdzieści cztery, a trzeba pamiętać, że w latach dwudziestych naszego stulecia prezesów wielkich korporacji uważano w Ameryce za osobistości zbyt cenne nawet na urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych. McNamara porzucił jednak business dla Ministerstwa Obrony i trzeba to uważać za znanie czasów, w związku z nową rolą państwa w gospodarce USA, do czego jeszcze w następnych rozdziałach wrócimy.

Kennedy nie znał osobiście McNamary; McNamara też nie znał większości ludzi, których ściągnął do swego „technipolu”, jak ochrzczono stworzoną przez niego ekipę podobnych doń fachowców. Charles Johnson Hitch, który przed laty współpracował w czasie wojny na terenie Wielkiej Brytanii z inicjatorami badań operacyjnych, miał wówczas za sobą pięćdziesiąt dwa lata życia, trzynastoletnie kierowanie wydziałem ekonomicznym RAND-u (specyficznej amerykańskiej organizacji naukowo-badawczej, pracującej dla wojska) i dwie książki, w tym jedną napisaną do spółki z innym ekonomistą-teoretykiem Rolandem N. McKeanem (przełumaczoną nb. na polski) — *Ekonomika obrony w erze jądrowej*, które to uzyskało nagrodę literacką (sic!) Stowarzyszenia Administracyjnego Sił Zbrojnych i miano „biblii Pentagonu”.

Jeśli McNamara w swych nieoprawnych okularach, z przybliżanymi, przereźdzonymi włosami wyglądał na nauczyciela gimnazjum w typie „psów”, to drobny, łagodny Hitch przypominał raczej klasycznego belfra z gatunku „dobrotliwych”. Uzupełnił go znoknemie wysoki, chudy Alain C. Enthoven, jego kolega z RAND-u, zajmujący się stosowaniem metod matematycznych do badania systemów efektywności uzbrojenia; ten należał również do nielicznych starszych, reszta „technipolu” była grubo młodsza i swoimi pucołowatymi często fizjonomiami budziła skryte furie w duszach starych wyjadaczy Pentagonu, przemawiając, jak opowiada Stewart Alsop, takimi np. słowy w dowództwie sił powietrznych:

„Generale, nie macie planu wojny. To co macie, to jest jakiś potworny bałagan” (cyt. za Jack Raymond, *Pentagon*, MON, Warszawa 1966, s. 306).

„System, który zastaliśmy, miał szereg poważnych braków. Przypuszczalnie najpoważniejszym z nich była prawie całkowita separacja pomiędzy planowaniem i podejmowaniem decyzji w dziedzinie systemów uzbrojenia — z jednej strony — a procesem zestawienia budżetu — z drugiej” — napisał w r. 1963 Enthoven (...)

Do tej pory prace nad budżetem Pentagonu rozpoczynano na dwa lata przed jego zatwierdzeniem, choć obo wiązywać miał on z kolei tylko przez rok. „Obserwowaliśmy nieustanne krzyżowanie się biurokracji z korupcją”, jak dosadnie scharakteryzował ten system jeden z amerykańskich dziennikarzy. „Doły” składały zapotrzebowa-

nia, potem góra z tego konstruowała wytyczne do opracowania szczegółowych planów przez rodzaje broni, potem powstawały plany, „na dole”, potem znowu „góra” obrabiała je sama, potem je obrabialo jeszcze biuro prezydenta, „scalając” z budżetem ogólnopaństwowym, potem projekt trafiał do Komisji Sił Zbrojnych Kongresu, by w końcu zostać przegłosowany... „Po drodze” możliwe były wszelkiego rodzaju manewry, których dotychczasowa kontrola finansowa w żaden sposób nie potrafiła uchwycić; stan Georgia dzięki swoim ludziom w Waszyngtonie załapał tyle inwestycji wojskowych, że — mówiono — jeszcze jedna baza i Georgia zatonie pod tym ciężarem; marynarka chciała mieć dodatkowy lotniskowiec, to i miała; General Dynamics straciła 425 milionów dolarów na nieudanych odrzutowcach, musiała więc odbić sobie na pociskach raketowych i łodziach podwodnych; nikt nie dojdzie, kto na tym zarobił, rzadko zresztą można podejrzewać łapówki, te rzeczy załatwia się dziś drogą bardzo okreśną; bywało i tak, że dane rodzaje sił zbrojnych podawały niższe koszty długofalowych programów, żeby mówić po naszymu, „zaczepić się” w budżecie i potem postawić budżet w sytuacji przymusowej — „Zaczęliśmy już, trzeba skończyć, dajcie pieniądze”. No a Kongres z reguły rzucał dodatkowymi kredytami wedle swego widzimisię, którą to szczodrość też na ogół trudno byłoby zwać bezinteresowną, tylko że pytanie „*cui prodest*” w amerykańskiej kulturze prawniczej jakoś dotąd się nie przyjęło, czego dowód mieliśmy przy śledztwach w sprawie Dallas, Los Angeles czy Memphis.

W sumie powstał budżet ze szczegółowymi pozycjami kredytowymi uszeregowanymi sztywno wedle z góry przyjętej klasyfikacji dotacjami na rok, a kołomyjka dotycząca dalszych kredytów już się toczyła. Przy iluzji porządku należałoby to raczej określić jako niemożliwość do skontrolowania bałagan na skalę miliardów dolarów. Można było co najwyżej zestawiać koszty nakładów lub sumować wyniki; żadnej innej analizy w tych warunkach nie dawało się przeprowadzić. (Czytelnicy obeznani bliżej z ekonomiką dostrzegą tu zapewne różne dość ciekawe akcenty...)

McNamara i jego ludzie nie mieli zamiaru atakować społecznej strony systemu, broń Boże. Wprowadzili tylko do niego nowy porządek. McNamara proklamował hasło: „największa wydajność z dolara”. Ale do tego trzeba było właśnie nowych metod. Spróbuje-my tu określić ich sens raczej niż treść. po bliższe bowiem dane mogą już nasi czytelnicy sięgnąć do literatury fachowej. W skrócie rzecz ma się tak:

Nie rozdziela się pozycji budżetowych na takie kategorie jak płace, koszt zakupu sprzętu, koszt eksploatacji urządzeń, itp. Rozdział pieniędzy planuje się według zadań, które ujęte są w „programy”. Co to znaczy? Obejmuje się łącznym rachunkiem w wszystkie działania i wydatki potrzebne do zrealizowania danego „programu”. Związane z jakąś funkcją sił zbrojnych; nie będą to już wydatki i działania lotnictwa czy marynarki, ale wydatki i działania we wszystkich rodzajach broni i to nie tylko w skali roku, ale w skali całego czasu potrzebnego do

zrealizowania jakiegoś celu. Teraz staje się jasne, ile kosztuje cały dany system uzbrojenia i czy opłaca się on w zestawieniu z jego skutecznością. Można określić, jaki wariant programu będzie najkorzystniejszy z punktu widzenia zadań militarnych, a jednocześnie najmniej kosztowny. Można stwierdzić czy nie da się przydzielonych pieniędzy i materiałów zużytkować w sposób bardziej opłacalny.

Już samo ujęcie budżetu i zadań w postaci kompleksowej, łącznej, analizowanie każdej pozycji jako elementu systemu, nie zaś odrębnie i poza wszelkimi związkami, pozwoliło, jak ocenił Enthoven, uniknąć takich absurdów spotykanych poprzednio, jak produkcja bombowców bez zabezpieczenia załóg. A zdarzały się wszak przedtem i większe cuda! Kiedy znów Kongres przyznał McNamarze dodatkowe pół miliarda na zakup dodatkowych „latających superfortec” B-52, ten odmówił ich przyjęcia, co szeroko reklamowano — nie tylko w prasie amerykańskiej — jako dowód jego pokojowej polityki. Tajemnica tej odmowy była nieskomplikowana: nowe metody kalkulacji pozwoliły natychmiast obliczyć, że przyznany kredyt wystarczy tylko na zakup, a na eksploatację i dodatkowe wyposażenie naziemne trzeba by w ciągu pięciu lat jeszcze miliarda dolarów...

Oczywiście do takich obliczeń w skali setek tysięcy pojedynczych ludzkich działań i wydatków konieczne jest użycie maszyn cyfrowych, ale często to nie one podejmują decyzje: wybór programu zależy od poglądów na strategię, czyli na cele działań wojskowych, a te poglądy zmieniają się wraz z postępem techniki wojskowej i rozwojem sytuacji strategicznych; koszty dają się ujmować liczbowo, ale w ocenie wyników trzeba czasem ograniczyć się do stopniowania „lepsze — gorsze”, tu kategoria zysku nie wchodzi w rachubę. I nie same maszyny są najistotniejsze. Hitch, występując w 1961 roku przed Stowarzyszeniem Administracyjnym Sił Zbrojnych, które dało mu ową nagrodę literacką, powiedział:

....Wybór ekonomiczny jest tylko metodą spojrzenia na problem i nie musi być uzależniony od zastosowania pomocy maszyn analitycznych lub przeliczników [...]. Niektóre pomoce analityczne i maszyny liczące są przeważnie niekrytyczne przy analizie zagadnień wojskowych, ale istnieje wiele takich problemów, przy których nie okazały się one specjalnie użyteczne; niemniej jednak opłaca się uszeregować alternatywy i przemyśleć ich powiązania pod kątem widzenia celów kosztów” (cyt. za Jack Raymond...). Dodajmy, że przy fałszywie sformułowanych celach (planach), jak w przypadku Wietnamu, nie pomoże ani „mózg elektroniczny”, ani mózg Hitcha, ani nawet samego McNamary; jest to wojna nie tylko obrzydliwa, ale i źle pomyślana.

Jeśli jednak mamy się uczyć nawet od diabła, gdy można się od niego czegoś nauczyć, McNamaraowski „Planning-Programming-Budgeting System” powinien natchnąć nas ideą zastosowania tego trybu myślenia poza gospodarką, do innych dziedzin życia społecznego, w których rezultaty nakładów i prac nie zawsze pozwalają uchwycić się liczbowo. Nie chodzi bowiem o te

jedynie korzyści, które wynikają z ujęcia jednym programem nakładów zarówno na budowę nowej fabryki, jak i na jej zaplecze, na produkcję i dowóz materiałów tudzież ludzi, na mieszkania itp., ani też tylko o korzyści, jakie płyną z analogicznego pełnego bilansu siły roboczej i tzw. środków rzeczowych; są to rzecz jasna, korzyści ogromne — gdybyśmy tak planowali nasze inwestycje, byłoby np. wiadomo, na ile lat przed daną wielką budową trzeba uruchomić nową fabrykę cementu, którego — jak wiemy — w roku 1969 „niespodziewanie” zabrakło, aż z eksportera zostaliśmy naraz importem. Do tych problemów jeszcze wrócimy w dalszych rozdziałach, tu chodzi nam o zgodę czytelników na pogląd, że ten sam tryb myślenia można zastosować poza gospodarką.

Dla ścisłości trzeba dodać, że jeszcze za prezydentury Johnsona wydano zalecenie wszystkim resortom administracji amerykańskiej, by wykorzystwały PPBS — Planning-Programming-Budgeting System, do planowania swych budżetów. Autorom tej książki nie wiadomo niestety, z jakim skutkiem. M. J. C. Martin i R. A. Denison z Management Centre w Bradford na łamach corocznego dodatku brytyjskiego miesięcznika „Management Today” przedstawiają wyniki zastosowania go przez uniwersytet stanu Kalifornia (znany głównie pod nazwą „Berkeley” od nazwy swego centrum); uczą się tam 84 tysiące studentów, a budżet tej uczelni sięga wysokości rocznego budżetu Komisji Wyższych Uczelni rządu federalnego. Zasadą Berkeley jest przyjmowanie 12,5 procenta najlepszych absolwentów kalifornijskich szkół średnich i należało opracować budżet, który zabezpieczy rzeczywistą możliwość ich przyjęcia. Zaczyna się od tego, że „przewiduje się liczbę absolwentów szkół średnich mogących teoretycznie ubiegać się o przyjęcie, proporcje tych, którzy rzeczywiście podejmą takie starania, ich przypuszczalny podział na poszczególne wydziały i wreszcie liczbę posiadających odpowiednie kwalifikacje kandydatów spoza Kalifornii”. (Dodajmy, że odchylenia od przewidywanych liczb nie przekraczały w praktyce 2 procent).

„Biorąc za podstawę oszacowaną w ten sposób liczbę studentów można przewidzieć w sposób bardziej lub mniej całkowity inne potrzeby uniwersytetu. Tak np. liczba personelu nauczającego musi pozostawać w bezpośrednim związku z liczbą studentów na poszczególnych wydziałach i latach. Potrzeby w zakresie budynków, sprzętu i bieżącego zaopatrzenia oblicza się wydziałami, w oparciu o przewidywaną liczbę personelu naukowego i studentów. Również potrzeby w zakresie zakupu nowych książek do biblioteki kalkuluje się częściowo w oparciu o przewidywaną liczbę studentów na poszczególnych wydziałach, częściowo w oparciu o charakter procesu nauczania i zadań naukowych a częściowo w oparciu o zadania, jakie stawia sobie uniwersytet. Potrzeby w dwóch ważnych dziedzinach nie mają jednak związku z przewidywaną liczbą studentów. Badania naukowe finansowane są głównie przez subwencje rządu federalnego, rozmaitych fundacji i prywatnego przemysłu, a potrzeby w zakresie nauczania dorosłych — co jest odrębną dziedziną

działalności uniwersytetu w zasadzie utrzymującą się z własnych wpływów — przewidywane są niezależnie.

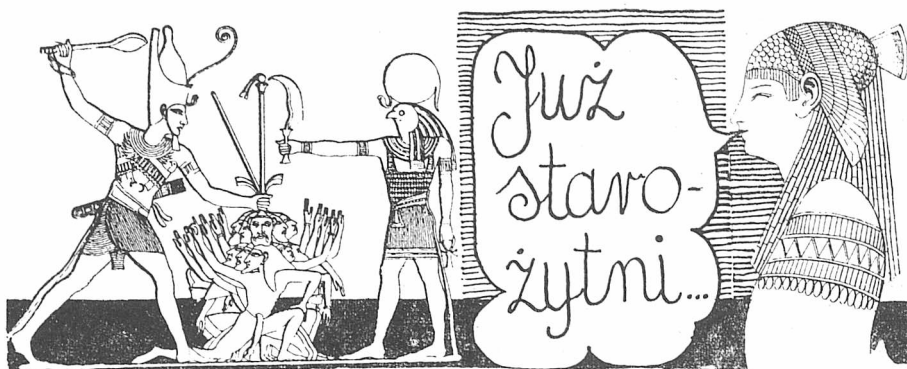
Modele tego nie uważa się za idealny i ma on ulegać stałemu doskonaleniu, ale nawet w obecnym stanie pozwala on kierownictwu uniwersytetu przewidywać potrzeby na dziesięć lat naprzód” (M. J. C. Martin i R. A. Denison, *The OR Revolution*, „Annual Review of Management Techniques 1959”, dodatek do „Management Today”).

Obaj autorzy podkreślają wszechstronność możliwych zastosowań PPBS. Spróbujemy inne dowody, potwierdzające tę tezę, przedstawić później, na razie powiedzmy, że dzięki PPBS staje się realne planowanie społeczne w dużych przedziałach czasu bez obracania się tylko w sferze piękno brzmiących postulatów czy demagogicznych haseł. Uzyskujemy bowiem informacje, co przy określonych nakładach da się uzyskać i z jakimi konsekwencjami społecznymi, ba, jakie warianty działań i wydatków dają nam „najwyższą wydajność ze złotówki” czy też zaangażowanych sił ludzkich.

Sposób podejścia, jak słusznie podkreśla Hitch, jest chyba jeszcze ważniejszy. Jeśli analiza tzw. przepływów międzygałęziowych pozwala rozpoznawać finansowe związki między różnymi dziedzinami gospodarki czy budżetu, sposób podejścia właściwy PPBS uczy wiązania ze sobą całych łańcuchów działań i następstw, pełnych kompleksów współzależności, nawet wtedy gdy ich wyrażenie liczbowe jest niemożliwe bądź zbędne. Nasi filozofowie dostrzegą tu zapewne wykorzystanie dialektyki do metod analizy operacji, i słusznie: szkoda, że nie zajmowali się jeszcze i badaniami systemów uzbrojenia... Ale oto przykład praktyczny rozumowania: Nasi demografowie zapowiadają spadek przyrostu naturalnego w Polsce; czy może mieć to wpływ na... planowanie systemu motoryzacyjnego? Jak najbardziej. Jeżeli, powiedzmy, w latach 1971-80 określona liczba młodych pracujących ludzi w wieku od 25 do 35 roku życia będzie marzyć o własnym samochodzie, to przy odpowiednio wysokiej cenie wozów wpłynie to na zahamowanie przyrostu naturalnego, w konkurencji bowiem z dzieckiem w kręgu młodych, dobrze zarabiających małżeństw wygrywa samochód; trzeba więc będzie podjąć konieczne kroki dla rozwiązania tego problemu; z kolei ewentualne zwiększenie podaży samochodów wpłynie zasadniczo na elementy planów inwestycji innych resortów, no a nie na wszystko nas stać; nie mamy nadmiaru paliw płynnych, stali itp., powstaje problem przelotowości ulic miejskich; z samego już tylko powyższego wyliczenia przesłanek wyluskać można „warunki ograniczające” wyboru optymalnej wersji samochodu, który warto zrobić dla naszego rynku. Gdyż optymalizacja opiera się na uwzględnieniu wpływu wszystkich współzależności i powiązań istotnych dla danej decyzji, obojętne, czy chodzi o maksymalny możliwy zysk, czy o maksymalne możliwe zadowolenie obywateli”.

W: Stefan i Andrzej
Bratkowscy,

Gra o jutro, PIW, Warszawa 1970,
s. 28-37



OFIARNY KAMIEŃ

Wchodzili w samochody, przedziały pulmanów — deska skrzypiała pod plastikiem zełkówki; szedł razem śmiech, dowcip kulawy, zszywany papierowym sznurem, dłoń twarda dziurkowała bilet, nikiel błysnął w zabłąkanym promieniu, nocą szedł rezonans krtani, w świst lokomotywy oddech zamieniał sen. I tylko blankiet skierowania zaszeleścił w kieszeni, przesunęły się przed oczy litery — nie był to list od dziewczyny, kształt liter nie pieściła matczyzna dłoń ni twarda ręka ojca... pieczęć prostokątem fioletu, zawieszona na haku podpisu. Furczało powietrze, dłoń zgrabiałymi niechęcią palcami objęła nieprzyjemne styliśko łopaty, uchwyt twardy pneumatycznego młota, pot zagasił uśmiech i tylko oczy lśniły młodością spod kurzu zmęczenia. Trzeba poznać smak potu, mówili, gorącość nagniotków, twardość kamienia zestaw z puszystością gleby... Myśl klarowną poprzez pot wsączyć w mózg dla światła. Jakby wysiłek mięśni mógł wymieść wszystkie śmieci, sprząć brud, wyprzeżować wszystkie wrzody? Niech włożą rękę we wnętrza ziemi — mówili inni — to ciepło niech spłynie przekleństwem. Żółci dać ujście! Cierń wyjąć ze skóry, na czerwonym grzbiecie ustawić ofiarny kamień.

Mech zielony zielenią puszystą dywanu w dzień wpółta na szary kamień chropawy — śpiewał poeta — w noc to cielca ofiarnego krew czarna rozlana i wznosi się sierp cienki i krwawy. Jeleń się trwoży, ktoś jedzie na motorze szosą a dęby na polanie jak pogańscy kapłani sierp dalej niosą. Jezioro trzepoczącą się smugą w kolumnadzie czarnych pni mruga, gdy iść drogą zwirową i puchacz woła z dala — tu nowego cielca powala ten sam sierp znowu. Dziki w gąszczu zatupały, niewidoczne skrzydła nad sosnami zaszumiały w locie głodnych stad na rżyska, o, tam rozsypane ziarna, w puszczy noc ofiarna i nóż krzywy wciąż błyska. W siatce liści i poświaty nowy łeb rogaty bezszelestni w długich szatach wiodą. I stają — tu namiot skrzydła napina i szepczą: po długiej, daremnej ucieczce powróciłeś, synu, do kamienia ofiarnego nad wodą. Rzucił jeszcze raz okiem i odszedł dalej w poszukiwaniu nowych rejonów, dla penetracji kolejnego dna. Zobaczcie — mówili — tak wygląda poeta, w zwyczajnym stroju, bez laurowego wienca, pozostawia taki sam zwykły ślad stopy w rozmokłej ziemi, tylko w sercu wyrwa... Ślady kroków umilkły, trzask gałązek, stękanie błota przeniosło się dalej poza granice odbioru; tylko bilet wizytowy zatknęty za gałązkę krzewu

błyszczał załamioną bielą. Podeszli wstrzymując oddechy, rozbiegane oczy złowiły napis. To był Aleksander Rymkiewicz, ktoś szepnął, to jest jego pieśń. Inni stali oparci o styliska łopat, wychylali się z parujących świeżą ziemią dołów, spoza kłód drewna, stamtąd gdzie powitał ciepło lipiec, inni odeszli od budki z piwem, patrzyli szeroko rozwartymi oczyma, resztki koronkowej piany rozsypywały się na wpół otwartych ustach, bo o ścianę lasu stuknęła pamięć — w śladach znaleźli zgłoski Artura Rimbauda.

Woda czysta: jak sól leż w dziecięcych żrenicach; biele kobiecych ciał, które szturmują słońce; jedwabne, z

gładkim rąbkiem, zwinięte proporce u murów, których jakaś bronila dziewczica; figle aniołów; nie... złocisty prąd się nurza w ciemnej odnodze, ciężkiej, świeżej od traw. Ona pod baldachimem nieba kładzie się stropiona, na zasłony przeznacza cień mostu i wzgórze. Na zmywanej podłodze przezroczyste bańki! Woda połysk wywodzi na pieluszcze miękkiej. Zielone wypłowiałe dziewczynęk sukienki są wierzbami, skąd wolne ulatują ptaki. Pod żółtą, czystą od luidora powieką kaczeniec w wodzie — kwiat twej, Małżonko, wierności! — w krótkie popołudnie w martwym zwierciadle, zazdrości różowej kuli w niebie zamroczonym spieką. Pani stoi zbyt sztywno na pobliskiej łące, gdzie się włóczyła robótki śnieży; w palcach pani parasolka; baldaszek nazbyt dumny dla niej wgniata w ziemię; na trawie dzieci czytające książkę w czerwonej skórze! A on, jak tysiące białych aniołów, co się rozchodzą na drodze, znika za zboczem góry. Ona cała w trwodze ozięblej, mroczna, biegnie za nim! po rozłące. Tęsknoty do przytulnej, do młodej zieleni! Kwietniowy księżyc w łóżku świętym! O radości nadrzecznych zagubionych drózek wśród zarośli, gdzie w sierpniowe wieczory zgnilizna się pleni! Ona teraz pod groblą płacze! Nie dla ludzi, dla wichru tylko topól odgórne westchnienia. Bez drgań, bez błysków szara toń się rozprzestrzenia: stary się piaskarz

Fot. W. Kubica



w barce nieruchomej trudzi. Głos gaśnie pod kurzem czasu, w pamięci, odwracanej szpuli przebiegłych dawno wrażeń, nad nagą dziewczyną zawiesił twarz i iza upadła między piersi, zaświeciła perłą, zimny blask nocy utopił w niej swój sztylet, a z ofiarnego ciała

wypił wszystko ciepło, i leżało dalej w postrzępionej rozkoszy. O sosnę stała oparta łopata, drelichową marynarkę opuścił lekki powiew, zastygła w martwocie ku ziemi ciężącej z butonierki wystawał wizytowy bilet — śmiała się fioletem prostokątna pieczęć.

Wstydlivość biele, puszystość zieleni, twardość kamienia, odciska tajemnicze pismo na poślądkach wyrwanych z audytorium, nawykłych do miękkości klubowych krzeseł, w kraj, w światło autentycznej pracy, w czas spoczywania. TUTMOZIS

INTERWENIUJEMY

Dość liczna grupa mieszkańców placu Grunwaldzkiego zwróciła się niedawno do redakcji „Donosu” z prośbą o interwencję. Chodzi o nieludzkie wrzaski, jakie wydostają się w różnych porach dnia z Ambulatorium Politechniki Wrocławskiej, mieszczącego się w Domu Naukowca. Powołana komisja w trakcie wizji lokalnej, w wyżej wzmiankowanej instytucji stwierdziła, że przyczyną tych hałasów jest maszyna do borowania zębów (model 1916 rok) i w pewnym stopniu dość nieostre wiertła.

KRONIKA TOWARZYSKA

Wbrew ponurym opiniom o poziomie członków tutejszej redakcji, rozsiewanym przez pewne podejrzaną kręgi towarzyskie — informujemy zainteresowanych, że nie otrzymaliśmy zaproszenia na Bal Dziecięcy, który odbył się 14 stycznia 1971 r.

PS

Ze źródeł własnych wiemy jednak, że przed wzmiankowanym Balem obcięto to i owo paniom i panom uwidoczniomym na remanentowych dekoracjach dwu poprzednich balów dla dorosłych.

NIEPRZYJEMNY INCYDENT

Na jednym z bardziej eksponowanych wydziałów miał miejsce dość niezwykły wypadek. Mgr K., który zapewne zbyt przejął się swoją rolą asystenta, usiłował zachęcić studentów do nauki wszelkimi możliwymi sposobami. Obecnie delikwent znajduje się na leczeniu.

„DONOSY”: Określnik literacko-informacyjny — całkowicie nieodpowiedzialny organ red. Wyjca.
Redaguje Kolegium.

Motto: „Prawdziwa krytyka cnoty się nie boi”.

ŚWIETLANA PRZYSZŁOŚĆ

W związku ze znaczną rozbudową naszej Uczelni przewidywana jest budowa kompleksu 11-kondygnacyjnych akademików i stołówki na 5500 osób. Rozwiązaniem wręcz rewelacyjnym bę-

dzie budowa basenów na dachach wieżowców, jak też wodotryski w pokojach.

Zainteresowane osoby informujemy, że o budowie żłobka jak dotąd nic nam nie wiadomo.

DEMENTI

Dementujemy szerzące się pogłoski, których korzenie wyrastają w RU ZSP, jakoby szef kultury groził nam kiedykolwiek osobistym spotkaniem w celu wymiany poglądów i nie tylko...

W TROSCE O KONSUMENTA

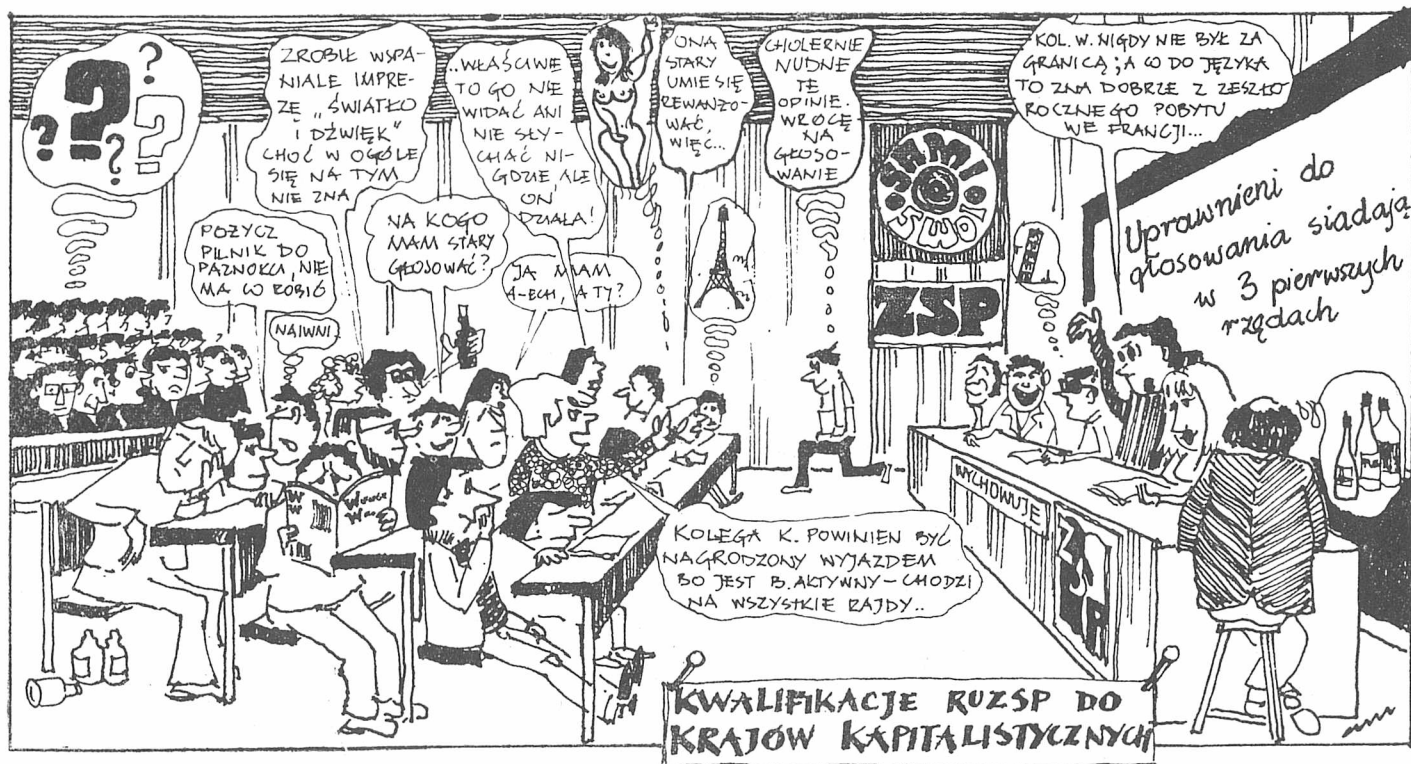
Jak podała agencja DPŻ, w stołówce dla pracowników Politechniki Wrocławskiej zainstalowano nowe typy lodówek do chłodzenia potraw, którymi dotychczas konsumenci parzyli sobie języki. Przy okazji zalecamy stołóvkę wszystkim wrzodowcom i cierpiącym na schorzenia żołądka. Miesięczna dieta w stołówce wyleczy wasze organizmy ostatecznie i ze wszystkich cierpień...

DZIEŃ MĘŻCZYZNY

W związku z postępującą feminizacją życia Społeczny Komitet Walki o Prawa Mężczyzn ogłasza dzień 13 maja Dniem Mężczyzny.

Analogicznie do hasła „Kwiatki dla Ewy” rzucamy hasło: „Cwiartka dla Adama”.

Rys. A. Maleszka



TROCHE O KONIACH



Fot. H. Geringer

W grudniu ubiegłego roku minęło pięć lat od chwili założenia Wrocławskiego Akademickiego Klubu Jeździeckiego. Klub ten powstał przy Radzie Okręgowej ZSP, zasięgiem swym obejmuje więc całe środowisko studenckie naszego miasta.

Dorobek AKJ? — Przede wszystkim — odremontowanie własnymi siłami stajni na Osobowicach, odstąpionej klubowi przez PGR wraz z kilkunastoma końmi (w tym tylko kilka wyścigowych). Dalej — nawiązanie kontaktów z odpowiednikami naszego AKJ w NRD i CSRS, a najważniejsze — założenie dwa lata temu Akademii Jeździeckiej. Należy się za to ukłon w stronę naszych „koniarzy”, jest to bowiem pierwsza i jedyna komórka tego rodzaju w Polsce.

A czym zajmuje się Akademia?

Jak wskazuje sama nazwa — nauczaniem sympatyków AKJ wszystkiego o koniach. Raz w tygodniu odbywa się godzinny wykład (i tu sprawdza się listę obecności!!!), który prowadzony jest przez profesorów — pracowników WSR, oczywiście członków zwyczajnych klubu. Wykłada się o pielęgnacji konia, jego żywieniu, chorobach i ... dosiadanii. Słuchacze pilnie notują, bo — jak każde wykłady — i te kończą się egzaminem. A egzamin nie byle jaki, bo w obecności komisji, a jakże. W skład komisji wchodzi: prezes Okręgowego Związku Jeździeckiego, Rektor Akademii oraz profesorowie. Egzamin teoretyczny i praktyczny odbywa się w maju, a tym, którzy zdali, wręcza się dyplomy ukończenia Akademii (egza-

miny poprawkowe są brane i tutaj pod uwagę — nie bójcie się). Po ciężkiej pracy — zabawa — Wielki Bal Absoluta. Nie koniec jednak na tym. Idzie lato, a wtedy — jak wiadomo — obozy. Na tych, którzy ukończyli Akademię, czeka w Księżnie koło Wałbrzycha dyrektor Dąbrowski ze swoją stadniną. Tutaj można się wyjeździć konno!!! I dopiero po obozie sympatyk AKJ zostaje pasowany na pełnoprawnego członka klubu — Rektor Akademii, Henryk Geringer, wręcza mu na walnym zebraniu legitymację AKJ.

Tak to przedstawia się zawila droga każdego sympatyka koni. Ale ileż przyjemności jest z tym związanych! Spróbujcie i Wy. Mówię wam — warto.

HANNA CHARZEWSKA

Fot. J. Olek



WICEKONSUL NRD JURGEN HER- MAN ZWIEDZIŁ WYSTAWĘ NA POLITECHNICIE WROCŁAWSKIEJ

Wicekonsul NRD we Wrocławiu Jurgen Herrman zwiedził mieszczącą się w gmachu Politechniki Wrocławskiej wystawę „20 lat szkolnictwa wyższego w NRD”. Towarzyszyli mu: prorektor Politechniki doc. Jan Sylwester Wieczorek, pełnomocnik do spraw współpracy z zagranicą Ryszard Zawadzki.

Następnie odbyło się spotkanie, na którym ustalono, że w przyszłości będą organizowane na Politechnice Wrocławskiej wystawy wszechstronnego dorobku naszego sąsiada.

WIELKI KONKURS KOPERNIKOWSKI

Wbieżącym roku akademickim w uczelniach całej Polski odbywa się konkurs Kopernikowski, którego organizatorami są dwie organizacje studenckie: ZSP i ZMS. Odbywa się on pod patronatem Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego.

Niedawno powstała w Politechnice Wrocławskiej — w ramach UKWOM — (Uczelniany Komitet Współpracy Organizacji Młodzieżowych) komisja d/s nauki zajmująca się między innymi sprawą przeprowadzenia konkursu.

Konkurs Kopernikowski ma na celu podniesienie wyników nauczania i aktywności studentów w pracy społecznej. Zostaną wyróżnieni najlepsi studenci i najlepsze grupy studenckie (na latach I-III) w poszczególnych instytutach. Regulamin konkursu przewiduje dla laureatów dwa odznaczenia: Złotą i Srebrną Odznakę im. Mikołaja Kopernika. We współzawodnictwie indywidualnym laureaci Złotej i Srebrnej Odznaki będą mieli między innymi zapewniony bezpłatny wstęp do wszystkich klubów studenckich Politechniki Wrocławskiej, pierwszeństwo przy kwalifikacji na wycieczki zagraniczne z 50% dofinansowaniem, w przyjęciu na asystenckie studia przygotowawcze i doktoranckie oraz przy wyborze stypendium fundowanego.

Chociaż w pierwotnych założeniach konkurs miał być podsumowywany za cały rok akademicki, to jednak w tym roku wyniki za semestr zimowy zostaną podane już w czasie trwania semestru letniego. Czekamy z niecierpliwością na najlepszych.

T. W.

NASI — DLA WIŃSKA

7 marca pojechały do Wińska w powiecie wołowskim niektóre zespoły artystyczne naszej Uczelni (w ramach patronatu Rady Okęgowej ZSP nad tamtejszym Gromadzkim Domem Kultury).

„Persona” pokazała swoją ostatnią premierę — „9 bram miłości”, a „Indykator” — ostatni swój program pt. „W studenckim świątku”. Od strony muzycznej reprezentowały nas grupa „Nurt” z „Telemika” i dowcipni „Zdeciacy” z T-4.

Program, trwający prawie trzy godziny, z humorem i w tempie prowadził Marek Kopff i Zbyszek Waclawik. Należy podkreślić, że był to jeden z pierwszych udanych, organizowanych w związku z patronatem, występów. Chyba się podobaliśmy. Było miło i wesoło, tylko nie zawsze właściwie nas rozumiano.

Z. SZ.



OCENA SYTUACJI

W marcu odbyło się Plenum Naukowe ZU ZMS poświęcone ocenie sytuacji na pierwszych latach studiów. Przedyskutowano między innymi formę prowadzenia zajęć z matematyki, poddając pod wątpliwość celowość ćwiczeń audytoryjnych. Proponowano drukowanie pomocy naukowych typu: konspekt—instrukcja...

Poruszono również problemy dotyczące studentów V roku związane z wyborem specjalizacji i nowoczesnego kształtowania specjalistów.

W porządku obrad znalazła się również sprawa sposobu mobilizacji studentów do nauki.

Z. B.

VI LAT KLUBU „ZNICZ”

Popularny klub studencki ZU ZMS „Znicz” w marcu obchodził swoje VI-lecie. Tydzień obchodów trwał od 15 do 24 marca. Zaproszono nań wszystkich sympatyków i przeciwników klubu.

W programie obchodów z przygotowanych imprez należałoby wymienić: recital piosenkarski Edwarda Lubaszenki, wieczór ballad Bułata Okudźawy z udziałem red. Jerzego Księskiego, remanent w kabarecie klubowym „Pod kasztanem”, spotkanie z prof. drem Henrykiem Hawrylakiem, piosenka i refleksja z udziałem Haliny Litwiniec, Henryka Jagodzińskiego i Wojciecha Popkiewicza, tradycyjny bal sympatyków i przeciwników klubu, „Nasi wśród swoich” z udziałem T. Brzezińskiego, A. Dziedziula, H. Jagodzińskiego, E. Lubaszenki, A. Waligórskiego oraz na zakończenie: powitanie wiosny i topienie Marzanny.

Z. S.

P. S. Zapowiadający się bardzo interesująco wieczór ballad Bułata Okudźawy okazał się nudnym monologiem Jerzego Księskiego, a w zestawieniu z fatalnie przygotowaną stroną muzyczną, która powinna stanowić treść wieczoru — sprawił nam wielki zawód!

Bardzo udany natomiast okazał się wieczór piosenki i refleksji, okraszony dowcipem Henryka Jagodzińskiego. Recytacje Haliny Litwiniec, przepojone intymnym ciepłem, w zestawieniu z refleksyjnymi piosenkami Wojciecha Popkiewicza, stworzyły niepowtarzalny klimat wieczoru.

Z. S.

DNI WPPT

W okresie od 5 do 7 marca odbywały się pierwsze w historii wydźwiętu „Dni WPPT”. Koronną a zarazem najbardziej udaną imprezą był „Kwiatka dla Profesora”, na której licznie zgromadzeni naukowcy Instytutu Matematyki i Fizyki Teoretycznej oraz Instytutu Fizyki Technicznej po uroczystym otwarciu „DNI” przez dziekana doc. dra Bronisława Jaskę, prodziekana doc. dra Eugeniusza Jagoszewskiego i dyrektora Instytutu Matematyki i Fizyki Teoretycznej, prof. dra Stanisława Gładysza — zarówno naukowcy jak i studenci — bawili się znakomicie do późnej nocy. W drugim dniu zorganizowano „Bal WPPT” z grzańcem. Bal wypadł dość blado i w zasadzie niczym nie różnił się od zwykłego wieczorku tanecznego. Ostatni dzień zamknął turniej brydżowo-szachowy: naukowcy contra studenci, w którym ci ostatni doznali dotkliwej porażki.

Należy wyrazić organizatorom uznanie za spory wysiłek i szereg naprawdę udanych pomysłów.

A. W. M.

WSPÓŁCZESNA ARCHITEKTURA SZWAJCARII

Już po raz drugi w ostatnim czasie mieliśmy okazję oglądać we Wrocławiu ciekawą wystawę architektoniczną. Na przełomie lutego i marca czynna była w Muzeum Architektury ekspozycja pt. „Współczesna architektura Szwajcarii”, zorganizowana przez Szwajcarską Fundację dla Kontaktów Zagranicznych „Pro Helvetia”. Ze strony polskiej patronowała jej Ministerstwo Kultury i Sztuki.

Wystawa, urządzona z dużym smakiem, była — szczególnie dla fachowców — ciekawsza niż pokaz „Architektury USA”. Stanowiła przegląd dorobku architektów szwajcarskich na przestrzeni ostatnich 10 lat. Przy wyborze przedstawionych obiektów architektonicznych duży nacisk położono na aktualne tendencje w architekturze tego górskiego kraju, krzyżujących się prądów miejscowych i wpływów zagranicznych. Starano się jednak uwypuklić przede wszystkim charakter regionalny.

Ekspozycję podzielono na 7 działów tematycznych, z których najciekawsze — to działy poświęcone budownictwu mieszkaniowemu i obiektom szkolno-oświatowym. Przedstawiono szereg przykładów dobrze zaprojektowanych mieszkań zarówno w domkach i willech jednorodzinnych, jak i w wielkich blokach mieszkalnych. Nawet laik zauważył świetne wkomponowanie architektury w teren i zielenie, czyli wykorzystanie naturalnego tła, jakim jest przyroda. Dla architektów i urbanistów równie ciekawe były pozostałe działy.

Do każdego z działów dołączono jako uzupełnienie po 80 kolorowych przeźrocz, wyświetlanych na specjalnych ekranach non stop. Ożywiło to wystawę a równocześnie wciągało widza głębiej w dany problem.

Wystawa cieszyła się powodzeniem, choć — na szczęście dla samych zwiedzających — nie były to takie tłumy, jak na poprzedniej wystawie tego typu. Najbardziej zadowoleni z tego byli studenci Wydziału Architektury, którzy całymi grupami, prowadzonymi przez pracowników naukowych, zapoznawali się z osiągnięciami szwajcarskich kolegów.

A. M. M.

Rada Młodzieżowa Studium Wojskowego, w porozumieniu z kierownictwem Studium, zorganizowała konkurs znajomości regulaminów sił zbrojnych PRL, którego celem jest spopularyzowanie regulaminów wśród studentów w mundurach i pomoc w ich opanowaniu.

Konkurs prowadzony jest w 3 etapach, równolegle w klasyfikacji indywidualnej i drużynowej. Pierwsze eliminacje na szczeblu kompanijnym wyłoniły 5-osobowe reprezentacje, które wystartowały w 2 etapie. Ten etap konkursu rozegrał się między drużynami kompanii danego dnia szkolenia wojskowego. W kwietniu 6 drużyn zwycięskich przystąpi do finału drużynowego, natomiast do indywidualnego finału przystąpi 12 zawodników i wśród nich rozegra się walka o pierwsze miejsce.

Na zwycięzców czekają atrakcyjne nagrody. Życzymy powodzenia. Organizowanie tego konkursu właśnie przez młodzież jest ewidentnym dowodem zaangażowania w obronności kraju.

Z. B.

„KONTRASTY”

W marcu ukazał się kolejny numer „Kontrastów Odrzańskich”, stanowiący kontynuację wydawnictwa Wrocławskiego Ośrodka Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy przy Zarządzie Wojewódzkiej Związku Młodzieży Wiejskiej. Obok szeregu interesujących pozycji — redakcja deklaruje własny program działania, którego fragmenty cytuję: „Kontrasty Odrzańskie — to przede wszystkim trybuna dla ośrodków nadodrzańskich (Opole, Zielona Góra, Szczecin, Wrocław) Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy, to również miejsce na druk debiutów poetyckich, prozatorskich, dramatycznych, krytycznych (...) stała penetracja zjawisk, pisanie o ludziach ciekawych, eksponowanie prac literackich i krytyczno-literackich, dyskusowanie o życiu kulturalnym środowiska wiejskiego, propagowanie określonego światopoglądu (...)”.

Zainteresowanych zawartością ostatniego numeru „Kontrastów Odrzańskich” i programem (w sensie praktycznym) odsyłamy do Biblioteki Beletrystycznej dla Studentów Politechniki Wrocławskiej.

m.

AAKF ZMS „KWANT”

W maju ubiegłego roku z inicjatywy Zarządu Uczelnianego ZMS powstał Amatorski Akademicki Klub Filmowy „Kwant” Z relacji prezesa klubu, Juliusza Mularzyńskiego, wiadomo nam, że klub napotyka na wiele trudności, z których najistotniejsze — to brak odpowiedniego zaplecza technicznego, trudności lokalowe i finansowe. Z tych względów „Kwant” zadebiutował dopiero w lutym filmem reż. Ryszarda Szkopa i Zbigniewa Sołtyśa pt. „Jubileusz”, pokazanym członkom DKF ZMS Politechnika. Film, o wartości odwrotnie proporcjonalnej do warunków realizacji, traktujący o uroczystościach związanych z obchodami XXV-lecia naszej Uczelni, spotkał się z życzliwym przyjęciem przez publiczność. Jest to więc na pewno pierwszy istotny sukces.



Ukoronowaniem dwuletniego szkolenia Oddziału Obrony Terytorialnej Kraju przy Politechnice Wrocławskiej są 10-godzinne ćwiczenia praktyczne. 18 marca br. drużyny Wydziału Mechaniczno-Energetycznego i Górniczego brały udział — wraz z oddziałami OTK przy elektrow-

ni Czechnica w pozorowanym ataku na tę elektrownię. Poziom ćwiczeń był wysoki. Jeszcze raz udowodniono przydatność kobiet w tego rodzaju obronie przed nieprzyjacielem.

Tekst i zdjęcie:
RYSZARD MAKOWSKI

Na zwycięzców czekają szczególnie atrakcyjne nagrody.

Z. B.

FILMOWE KONFRONTACJE

Dnia 12 III 71 r. w DS „Parawanowiec” odbył się pokaz filmów realizowanych przez studenckie grupy filmowe.

Grupa „U”, działająca na Wydziale Chemicznym, zaprezentowała dwa filmy: „Chemiczny światek” i „Przygoda w Jagniątkowie” — stojące na słabym poziomie technicznym, spowodowanym trudnościami realizacyjnymi.

AAKF ZMS „Kwant” przedstawił film pt. „Jubileusz” stanowiący dokument o obchodach XXV-lecia naszej Uczelni. Niestety, na filmowych konfrontacjach zabrakło dzieła Klubu Filmowego ZSP, „Lumen”.

Z. B.

PIERWSZA WYSTAWA

W pierwszej połowie marca w pomieszczeniach klubowych DS „Parawanowiec” czynna była wystawa 14 prac malarskich studentki II roku Wydziału Architektury, Marioli Orzechowskiej. Jej malarstwo, wykonane z reguły kolorowymi temperami i tuszem, budziło zainteresowanie tylko wśród mieszkańców akademika. Prace te — to niesamowite trochę kompozycje figuralne, po trochu wizje fantastyczne. Półnagie ciała dziewczyn i chłopców, splecione w tańcu, ruch bijący z zabawnie ale i ekspresyjnie kolorowych kartonów, dają atmosferę siły życia. Bo właśnie człowiek jest dla młodej autorki inspiracją pracy, którą traktuje jako hobby i wyśmienity, relaksujący wypoczynek po długich godzinach siedzenia nad projektami.

Jeszcze w czasie trwania pierwszego, planowano już drugi, obszerniejszy pokaz prac. Przy organizowaniu wystawy pomocy udzieliła autorce grupa kole-

A perspektywy? Klub w przyszłości zamierza wydawać stałą Kronikę Filmową Uczelni, obrazującą działalność naukową Uczelni, działalność organizacji młodzieżowych, aktualne problemy, słowem — być wszędzie i widzieć wszystko okiem kamery. Po zdobyciu „ostrogów” rozważa się również możliwość kręcenia filmów naukowych, konsultowanych z kompetentnymi osobami oraz ewentualny udział w Festiwalu Filmów Amatorskich.

Plany są niewatpliwie ambitne. Jak będzie z ich realizacją — na to pytanie odpowiedzieć jeszcze za wcześnie. Istnieje grupka zapaleńców gotowa wywoływać filmy w łazience akademika. Lecz skoro istnieje już klub filmowy, to chyba powinien mieć zaewnione warunki egzystencji. Nie potrzeba (przynajmniej na razie) superlaboratoriów, atelier etc. Wystarczy własny kąt, by czuć się jak u siebie, a nie jako „dziki lokator”. Wystarczy elementarne zaplecze techniczne. Zdajemy sobie sprawę, że realizacja nawet najkrótszej krótkometrażówki jest kosztowna. Ale skoro klub istnieje, to powinien działać, powinien mieć optymalne warunki do działania. Immanentne istnienie klubu miało się przecieć z celem.

A filmowcom wypada życzyć (sit venia verbo) „połamania kamery”.

Z. B.

KONKURS NA SCENARIUSZ

Amatorski Akademicki Klub Filmowy „KWANT” ogłasza otwarty konkurs na scenariusz filmowy o dowolnej tematyce. Scenariusz powinien być podstawą filmu krótkometrażowego (10-15 min. projekcji). Oceniane będą: pomysł, forma, opracowanie, obrazowość i strona dźwiękowa.

Do pracy zaopatrzonej w godło należy dołączyć zaklejoną kopertę z godłem, zawierającą dane personalne.

Prace prosimy przysłać na adres: AAKF „Kwant” ZU ZMS Politechnika Wrocławska, ul. Wybrzeże Wyspiańskiego 27, do dnia 15 października 1971.

żanek i kolegów z wydziału, działająca w kółku nazwanym abstrakcyjnie „PBS”, którą łączy wspólne zainteresowanie architekturą, malarstwem, grafiką i rzeźbą. Uczęszczają oni całym gronem na wystawy plastyczne i są znanymi bywalcami Muzeum Architektury.

A. M. M.

LEKTURY NIEOBOWIĄZKOWE

dokończenie ze str. 7

żych ambicjach i nie udzielaniu zgody na zastane sposoby wyrażania rzeczywistości.

„Nieznajoma” z trzech zaprezentowanych tu książek wydaje mi się próbą najambitniejszą, chociaż — niestety — ze względu na swój dość ryzykowny nonkonformizm artystyczny — na razie próbą najmniej udaną.

Opowiadania zebrane w debiutanckim tomie polecam szczególnie tym czytelnikom, którzy nie szukają łatwych a zgrabnych fabulek, tym, którzy potrafią zadać sobie trud przełożenia wieloznacznych sygnałów na pogmatwaną przecież rzeczywistość.

Z zaprezentowanych wyżej stylizacji ta wydaje mi się najbardziej nośną dla treści i problemów osaczających współczesnego człowieka — ale zarazem stawiającą czytelnikowi szczególne wymagania intelektualne.

ERNEST DYCZEK

¹ Zyta Oryszyn, *Najada*, Czytelnik, Warszawa 1970, s. 153.

² Janusz Głowacki, *Nowy taniec labad*, PIW, Warszawa, 1970, s. 169.

³ Stanisław Pasternak, *Nieznajoma*, Ossolineum, Wrocław, 1970, s. 124.

PERSPEKTYWY STUDENCKICH NAUKOWCÓW

W dniach 10—14 lutego w Dusznikach Zdroju odbył się obóz szkoleniowy aktywu studenckiego ruchu naukowego naszej Uczelni.

Prorektor do spraw nauki, doc. dr Wacław Kasprzak, przedstawił na nim główne założenia rozwoju naukowego Politechniki oraz miejsce i rolę badawczej działalności studentów w tym programie.

Uczestnicy obozu wysłuchali wykładu doc. dra Mieczysława Napięty z zakresu informacji i rozpowszechniania wyników badań. Odbyły się też prelekcje z socjologii i psychologii pracy badawczej dra Jerzego Goćkowskiego i dra T. Kocowskiego a o planowaniu badań mówił mgr inż. Karol Pec.

Druga część referatów i dyskusji miała aspekt bardziej praktyczny i związana była z codzienną działalnością kół naukowych SNS w instytutach. Doc. dr Wacław Kasprzak w obszernym wystąpieniu przedstawił miejsce kół i prac naukowych jego członków w pracach zespołów badawczych instytutów.

Na podstawie operacyjnych planów badań instytutu zostaną przygotowane analogiczne plany działalności merytorycznej członków Koła SNS. Realizacja tych planów winna aktywizować kół i przez bezpośrednie uczestnictwo ich członków w pracach zespołów badawczych podnieść rangę studenckich prac naukowych. Poruszono także sprawę indywidualnych programów studiów. Koła naukowe, w porozumieniu z dyrekcjami instytutów oraz opiekunami naukowymi kandydatów, przesyłały już konkretne propozycje władzom Szkoły. Ożywiona dyskusja toczyła się również wokół form i stylu

pracy kół oraz zadań i roli opiekuna i przewodniczącego. W imieniu Zarządu Uczelnianego Stowarzyszenia Naukowego Studentów przedstawiono też założenia akcji letnich obozów naukowych, które — jako lepsza forma przygotowania do pracy inżyniera — mają szerzej zastąpić dotychczasowe, często kulejące praktyki.

J. S.

CO AKTYWIZUJE?

25 marca br. odbyła się kwalifikacja na Młodzieżowe Obozy Pracy i wycieczki indywidualne do krajów zachodnich. Liczba starających się o wyjazd znacznie przekraczała istniejący stan wolnych miejsc. Na niektóre wycieczki np. do Włoch, Francji, Anglii i to w obydwu terminach — było po kilkunastu kandydatów

(15, 17 na 1-3 miejsc zależnie od wycieczki). Przy niezwykle silnej konkurencji nie było ... pewniaków. Kilku czołowych *działaczy* Zrzeszenia nie zdołało przejść przez sito kwalifikacyjne, co należy zaliczyć do dużych niespodzianek.

Swoją drogą to sposób kwalifikacji na tego rodzaju imprezy budzi od paru lat duże zastrzeżenia. Wydaje się, a to już w formie postulatu, że RU ZSP powinna zastanowić się poważnie nad weryfikacją sposobu kwalifikacji nie tylko na wycieczki ale i praktyki do krajów zachodnich (IAESTE).

Z drugiej strony trzeba nadmienić, że zainteresowanie tą formą nagrody za prace społeczne rośnie w dużo większym stopniu, niż ilość wolnych miejsc. Czyżby wzrost aktywności środowiska studenckiego?

MAJK



Przemijanie jest udziałem wszystkich ludzi i wszystkiego co ludzkie, zaś śmierć jest zjawiskiem, które towarzyszy ludzkości od początku jej istnienia. A przecież ból, smutek, głębokie uczucie krzywdy są naturalną reakcją każdego z nas, kiedy uświadamiamy sobie, że odchodzi ktoś bliski. Tak właśnie przyjął fakt, że docenta **Włodzimierza Gogolewskiego** nie ma już wśród nas i nigdy się już wśród nas nie pojawi. Zmarł nagle 8 marca 1971 r. Ceniono Go jako inżyniera, pedagoga, pracownika nauki i społecznika; my cenimy Go także i za to, że był dobry, szczery, prawy i darzył nas swoją przyjaźnią.

Urodził się w Piotrkowie Trybunalskim w 1909 r. Ukończył studia na Wydziale Elektrycznym Politechniki Warszawskiej, uzyskując akademicki tytuł inżyniera elektryka. Powołany w 1939 r. do czynnej służby wojskowej, odbył Kampanię Wrześniową i w jednej z walk dostał się do niewoli niemieckiej. Wkrótce aktywnie włączył się do pracy szkoleniowej w obozie jako wybitny specjalista z dziedziny urządzeń elektrycznych. Był wykładowcą na kursach politechnicznych w obozie jenieckim.

W 1945 r. niezwłocznie wrócił do kraju i podjął pracę zawodową. W 1948 r. Politechnika Wrocławska za-

prosiła p. Włodzimierza Gogolewskiego do współpracy; dawni słuchacze z obozu jenieckiego, którzy zachowali we wdzięcznej pamięci Jego wykłady, stali się tego inicjatorami. Kariera doc. Gogolewskiego w Politechnice przebiegała typowo: od st. asystenta aż do docenta — początkowo w Katedrze Wysokich Napięć a następnie w Katedrze Urządzeń Elektrycznych. Od 1952 r. pełnił funkcję dziekana Wydziału Elektrycznego W.S.I. a od 1953 do 1959 — kierownika Studium Wieczorowego Wydziału Elektrycznego Politechniki Wrocławskiej. Ostatnio był kierownikiem Zakładu Elektrycznych Urządzeń Górniczych w Instytucie Energoelektryki. Pracował również w BP i SPUE „Elektroprojekt” na stanowisku kierownika ekspedytury we Wrocławiu.

W pracy naukowej i zawodowej doc. Włodzimierz Gogolewski zdyskontował swoje wielkie, wieloletnie doświadczenie, projektując układy elektryczne kilkuset obiektów przemysłowych jak np. Zakładów Chemicznych w Oświęcimiu, Kopalni Miedzi „Konrad” i Kombinatoru Górniczo-Hutniczego Miedzi w Lubinie, żeby wymienić tylko kilka najważniejszych.

Dzięki Jego staraniom i pod Jego kierunkiem uzyskało dyplomy inżynierów elektryków ok. 500 studentów. Jako dziekan odznaczał się wielkim zainteresowaniem sprawami toku studiów, które wśród studiujących na studiach dla pracujących są bardzo trudne i złożone. Serdeczność, szczerość, pogoda i atmosfera przyjaźni — były to walory, którymi zjednywał sobie studentów, współpracowników i przyjaciół.

Od kilku lat był zyskującym sobie powszechne uznanie prezesem Oddziału Wrocławskiego Stowarzyszenia Elektryków Polskich.

Rzetelna praca i wybitne zasługi zostały nagrodzone; odznaczony został Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Srebrnym Krzyżem Zasługi, Odznaką „Budowniczy m. Wrocławia”, Złotą Honorową Odznaką Politechniki Wrocławskiej, Odznaką 1000-lecia Państwa Polskiego, Odznaką „Zasłużony dla Dolnego Śląska”, honorowymi odznakami Naczelnej Organizacji Technicznej i Stowarzyszenia Elektryków Polskich oraz szeregiem innych.

Patenty na rzecz Uczelni

W związku z artykułem „Patent — za ćwiczenie”, który ukazał się w 1/22 numerze „Sigmy” z 1970 r., chcę omówić sprawę obowiązku w zakresie ochrony patentowej, jaki spoczywa na pracownikach i studentach Politechniki Wrocławskiej.

Wyżej wymieniony artykuł informuje, że dwaj studenci kursu magisterskiego Wydziału Inżynierii i Ekonomicznego Politechniki Wrocławskiej, inż. Jan Rosochacki i inż. Stanisław Grzych (będący jednocześnie pracownikami COBPGO), pracownik Instytutu Budownictwa Politechniki Wrocławskiej dr inż. Ryszard Stus oraz pracownik Centralnego Ośrodka Badań i Projektowania Górniczo-Odkrywkowego (COBPGO), mgr inż. Zdzisław Grondek — zgłosili do opatentowania wieloczynnościowy segregator wibracyjny. Omawiany artykuł — podobnie jak medal, który ma dwie strony — posiada dwa aspekty. Pozytywnym aspektem tego artykułu jest fakt, że podczas procesu dydaktycznego powstało nowe rozwiązanie zagadnienia technicznego, które w przyszłości uzyska rangę wynalazku, gdy na to rozwiązanie zostanie udzielony patent. Natomiast negatywnym aspektem tego artykułu jest fakt, że omawiane rozwiązanie zagadnienia technicznego zostało zgłoszone do opatentowania na rzecz COBPGO a powinno było zostać zgłoszone na rzecz Politechniki Wrocławskiej. Aby nie być poświadczonym o tak zwany nieuzasadniony lokalny patriotyzm, wyjaśniam, że nie jest to jedynie

mój prywatny punkt widzenia, ale wykładnia prawna obowiązujących w tym zakresie przepisów, które postaram się wyjaśnić.

Z punktu widzenia interesów państwa jako całości nie ma żadnego istotnego znaczenia, na rzecz której jednostki gospodarki społecznej zostanie dokonane zgłoszenie patentowe, natomiast najistotniejszym problemem jest, aby każde nowe rozwiązanie zagadnienia technicznego zostało objęte ochroną patentową. Dlatego drugorzędne znaczenie ma fakt, na czyją rzecz dokonane zostało zgłoszenie i na czyją rzecz zostanie następnie udzielony patent. Jest to więc problem poszczególnych jednostek gospodarki społecznej, polegający na tym, że każda z nich pragnie wykazać się jak największym dorobkiem w zakresie ilości uzyskanych patentów, świadczących w sposób jednoznaczny o wybitnym twórczym charakterze pracy pracowników naukowo-technicznych danej jednostki. Jednakże gromadzenie dorobku w tym zakresie nie jest pozostawione przypadkowi, ponieważ regulują to następujące akty prawne, a mianowicie:

- ustawa z dnia 31 maja 1962 r. Prawo wynalazcze (Dziennik Ustaw Nr 33 z 1962 r., poz. 156), i
- uchwała Nr 74 Rady Ministrów z dnia 5 lutego 1963 r. (tekst jednolity: Monitor Polski Nr 4 z 1968 r., poz. 26).

Zgodnie z art. 93 ustawy Prawo Wynalazcze, twórca pracowniczego projektu wynalazczego obowiązany jest zgło-

sić projekt w tej jednostce gospodarki społecznej, w której projekt został dokonany. Również § 7 ust. 2 uchwały Nr 74 Rady Ministrów określa, że pracownik, który dokonał pracowniczego projektu wynalazczego, obowiązany jest zgłosić projekt najpóźniej w ciągu 1 miesiąca od chwili jego dokonania w jednostce, w której dokonał projektu, a ponadto w tym terminie powiadomić o zgłoszeniu jednostkę, w której twórca jest zatrudniony, jeżeli nie jest to ta sama jednostka.

Tak więc z powyższych przepisów prawnych wynika jasno, że z formalnego punktu widzenia omawiane rozwiązanie zagadnienia technicznego powinno być zgłoszone do opatentowania na rzecz Politechniki Wrocławskiej.

W świetle powyższych rozważań należy stwierdzić, że dr inż. Ryszard Stus, jako pracownik, a inż. Jan Rosochacki i Stanisław Grzych, jako studenci, nie dopełnili obowiązku wobec Uczelni. Jednakże dzięki temu że zdecydowana większość pracowników patentuje opracowane przez nich nowe rozwiązania zagadnień technicznych na rzecz Uczelni, Politechnika Wrocławska — aczkolwiek nie jest największą szkołą techniczną w Polsce — w 1968 r. zajęła I miejsce w resorcie Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego w zakresie ilości zgłoszeń patentowych, przy czym to I miejsce zostało zdecydowanie utrzymane w latach 1969 i 1970. Utrzymanie tego zaszczytnego I miejsca wymaga zgłaszania do opatentowania nowych rozwiązań technicznych na rzecz Politechniki Wrocławskiej.

W związku z powyższym zwracam się z apelem do pracowników i studentów, aby swoje wynalazki zgłaszali do opatentowania na rzecz Politechniki Wrocławskiej.

Kierownik Działu
Ochrony Patentowej
mgr inż. BOGUSŁAW ROZMUS

KRZYŻÓWKA

Poziomo:

1 — utwór poetycki zawierający dwie zwrotki czterowersowe i dwie trzywersowe, 4 — pospolity chwast zbożowy, 7 — roślina ogrodowa o dużych kwiatach bez zapachu, 9 — przeciwnieległy zenitowi punkt sfery niebieskiej,

10 — składa teksty w drukarni, 11 — niepowodzenie, fiasko, przegrana, 12 — gdy jest sucha nazywa się siano, 15 — lalka, marionetka, manekin, 18 — miesiąc zakochanych, 20 — porcja, miarka, doza, 21 — jest na koparcie, 22 — płas, 24 — karta biorąca lewę, 27 — transport drzewa rzeką, 30 — nietoperz o długich uszach, 31 — jezioro w pld-

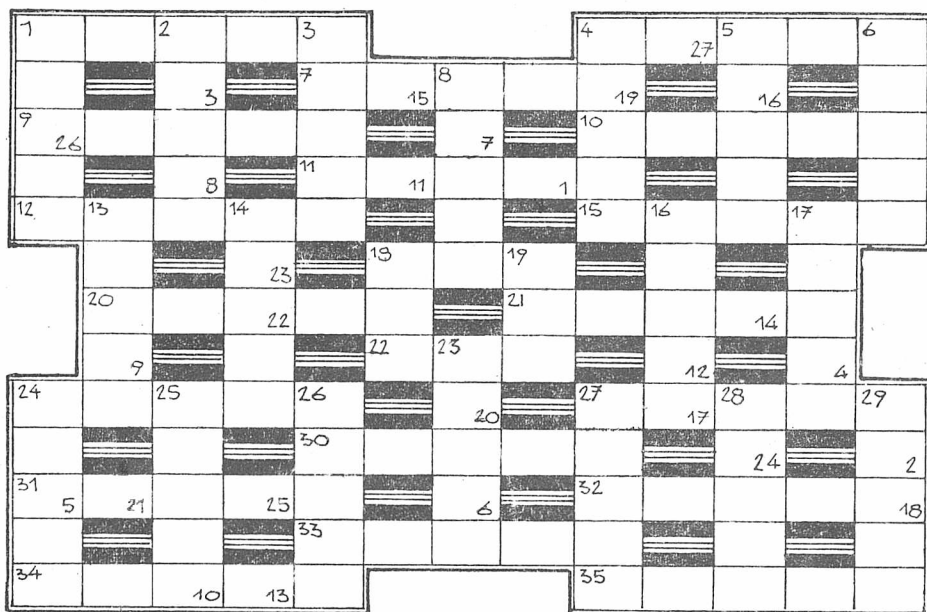
wsch. Afryce, 32 — silne napady duszności, 33 — feudał, który zobowiązał się do rycerskiej służby wojskowej na rzecz seniora, 34 — bogini mądrości, córka Zeusa, 35 — imię żeńskie.

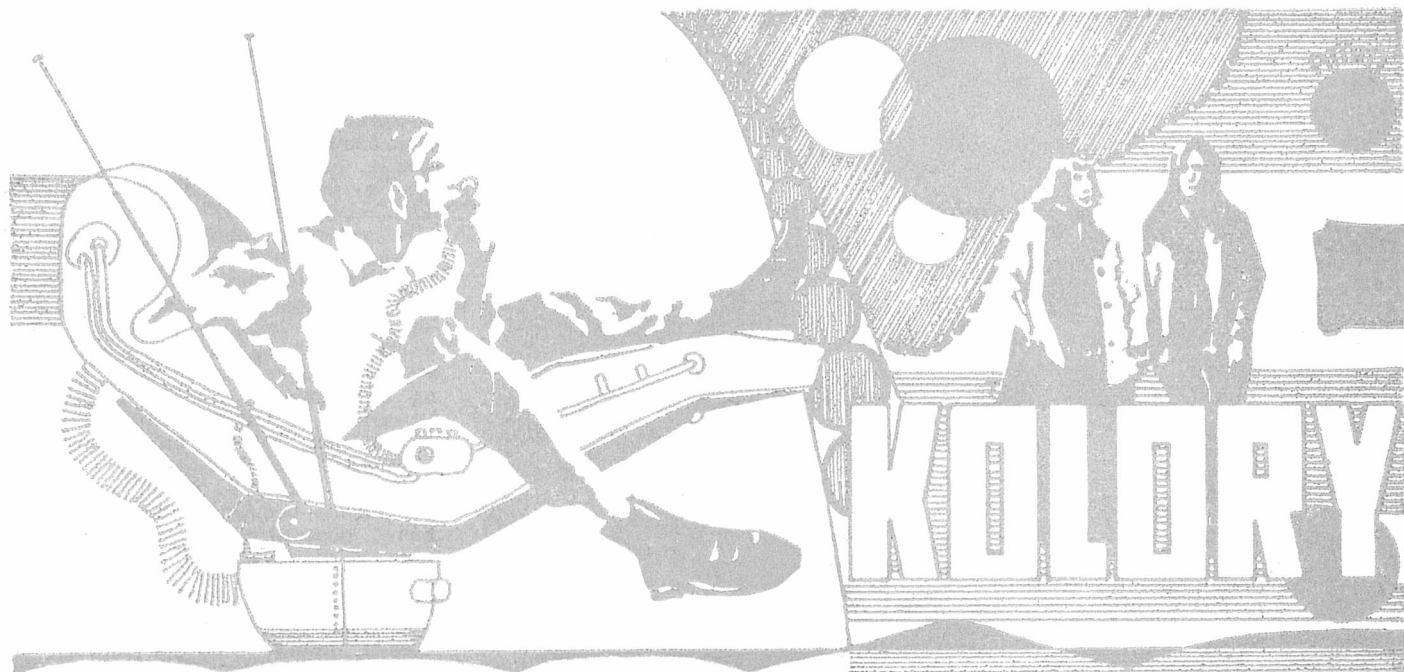
Pionowo:

1 — organ najwyższej władzy w szkole akademickiej, 2 — bieda, niedostatek, 3 — służy do rozcierania, 4 — krzew, 5 — ustronne, ciche miejsce, 6 — kijanka płazów, gąsiennica, 8 — nakrycie głowy królów staropolskich, 13 — gra w domu, 14 — okrzyk na czyjaś cześć, 16 — wrzątek, 17 — drapieżnik z rodziny kunowatych, 18 — w marynarce wojennej: niższy stopień podoficerski, 19 — imię męskie, 23 — włączenie się, zgłoszenie swojego udziału, 24 — cios, uderzenie, 25 — biolog, założyciel i pierwszy rektor UMCS w Lublinie, 26 — bylina z rodziny amarylkowatych, 27 — podziałka na przyrządach pomiarowych, 28 — republika w ZSRR, 29 — ufność, zaufanie.

UWAGA — Po prawidłowym rozwiązaniu krzyżówki litery w ponumerowanych kratkach w dolnym prawym rogu czytane od 1 do 27 utworzą rozwiązanie. Rozwiązania (na kartkach pocztowych) prosimy nadsyłać do dnia 30 maja br. na adres Redakcji.

Nagrody za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki z nr 5/26 SIGMY wylosowali: Roman Konieczny, Janina Zarczyńska, Jerzy Kurzępa. Nagrody zostaną rozesłane pocztą.





Gdy dominującym kolorem zaczęła być zieleń, a czerwień stała się jedynie estetycznie funkcjonalnym elementem kompozycyjnym, z delikatną gdzieś przemieszką zgnilizny, wstał. Wysupłał się ze stanu leniwie pogardliwego obserwatora, przeciągnął i od razu wziął się do pracy.

Bardzo nieliczni zdawali sobie dotąd sprawę z jego istnienia a i oni przekonani byli, że jego obecność wśród nas ogranicza się jedynie do obserwacji.

Ziemia dokoła leżała ciężka, wyciekająca bezwładnie.

Zaczął od konwencji niewielkich, bardzo młodych, a minimalnym zasięgu oddziaływania. Dla rozgrzewki rozbił kilka jednym uderzeniem. Nie potrzebował do tego precyzyjnych narzędzi — wystarczała siła i zapasy energii, którą magazynował w sobie w czasie spoczynku. Uśmiechnął się oceniwszy efekt i zaczął pracować metodycznie, według swojej recepty. Tych, którzy to widzieli, przeraził jego uśmiech; ironiczny, zaprawiony trochę goryczą, wykwił na moment z kamiennej twarzy — oczy pozostały jednak bez wyrazu.

Potem wziął na warsztat te większe, bardziej skostniałe, których zasięg oddziaływania był szerszy. Pracował szybko i w bardzo krótkim czasie doprowadził je do wymiarów pyłu kosmicznego; wyrzucony w próżnię oddalał się z ogromną prędkością.

Ci, którzy zauważyli, że wstał, nie zwrócili na to początkowo większej uwagi; wiedzieli, że pracuje, ale faktem tym nie przejął się nikt zbytnio; nie interesowało nas też, na czym jego praca polega.

Kilku z nas od razu wpadło w dziury, których niczym nie wypełnił; miało się oni łańcuchem w niekonwencji nie mogąc się z niej wydostać, potraktovaliśmy to jako rzecz zupełnie naturalną, czego w okresie, kiedy już było za późno, nie mogliśmy sobie wytlumaczyć.

On tymczasem ani na moment nie przerywał pracy, nie patrzył nawet na najbardziej szamotaninę pogrążonych w nicości ciał, tak jakby zupełnie go to nie interesowało.

Większość z nas jednak nie zdawała sobie sprawy z tego co dzieje się dokoła; uprawiali oni w dalszym ciągu swoją zieleń pod zasłoną gnijącej czerwieni.

Ci, do których dotarł rozmiar groźnego niebezpieczeństwa, usiłowali temu przeciwdziałać. Stworzyli naprędce kilka konwencji, które w warunkach względnej stabilności odpowiadałyby na pewno interesom społecznym bardziej niż te, które miały zastąpić; niestety, obszar nicości był tak ogromny, że wpuszczone w niekonwencję miały się bezradne, aż w końcu zbite w drżącą gromadkę przycupnęły na granicy czerni i coraz śmielej poczynającej sobie czerwieni. Krawędzie ich, o formach łagodnych, opalizowały delikatnym różem, co nie uszło uwadze miotającym się w pustce ciałom, których w miarę jego pracy przybywało. Ruszyły gromadnie ku pierzastym formom konwencji najnowszych. On zdawał się tego nie dostrzegać pracując w zapamiętaniu.

Reagować zresztą nie musiał, gdyż ciał z zakamarków nicości przybywało a różowe obłoczki miały konstrukcję delikatną. Gdy coraz więcej ciał zaczęło wdrapywać się, wpełzać, przylepiać do każdego wolnego skrawka konwencji, a końca temu nie było widać, obłoczki zasygnalizowały swoją słabość drżeniem a potem rozpadły się zmieniając w cuchnącą, zielonkawą maź. Ciała pozbawione oparcia znów zaczęły się miotać w bezwymiarowej otchłani.

Jakiegokolwiek próby powrotu na ziemię kończyły się niepowodzeniem.

Zaczęliśmy się czuć bezradni. Wartości, które zapewniały nam poczucie bezpieczeństwa, okazywały się kruche i nietrwałe. Rozpadały się w pył pod wpływem jego niespożytej energii.

Pracował. Niezrażony nieczym, niczego dokoła niewidząc, pracował wytrwale. Zdawać by się mogło, że każde jego uderzenie utwierdza w nim poczucie mocy i władzy nad nami. Ci, którzy teraz uświadomili sobie, co się dokoła nich dzieje, szukali oparcia w starych — pomimo wielu w naszej historii przewartościowców — pozostałych kanonach. My, którzy obserwowaliśmy jego działanie od początku, nie wierzyliśmy już w nic.

Do konwencji największych jeszcze nie dotarł tkwiąc ciągle przy średnich. Gdyby nie rozległe obszary próżni dokoła, nigdy nie uświadomilibyśmy sobie, jak wiele w czasie naszego istnienia powstało kanonów, praw, nakazów, tradycji i obyczajów. Wszystko to

ogromnymi mackami oblepiało nas paraliżując niejednokrotnie działania. Stał się nagle nadzy i bezbronny, gdy pozbawieni tej od wieków nawarstwiającej się na nas otoczki zmuszeni zostaliśmy do posuwania się po omacku. Ci, którzy uwierzyli w trwałość niektórych kanonów, mieli poczucie bezpieczeństwa, my dostrzegaliśmy jednak uludę tego, porównując trwałość umowności w końcu z jego siłą, której w miarę pracy przybywało.

Świat nasz zaczął się przedstawiać jako ocean bezbrzeżnej pustki, z którego gdzieś wystrzeliwały twarde, sędziwe wyspy konwencji starych, którym nic — zdawałoby się — nie jest w stanie zagrozić, i na których siedzieliśmy dość — trzeba to przyznać — spokojnie. Dokoła, w nicości, klębiła się w przerażeniu wielkim rozszalała masa ciał, które straciwszy oparcie pogrążone były w otchłani. Zieleni ubywało. My, ostali jeszcze na twardym łądzie, produkowaliśmy różowe pierzaste obłoczki; wrzucone w próżnię przez jakiś czas dawały chwilowe poczucie bezpieczeństwa tym, którzy je dosiadał, potem jednak nie mogąc znieść naporu ciał, rozpadały się w cuchnącą, zielonkawą maź. Robiliśmy też zakłady — ile ciał zmieści się na jednym obłoczku.

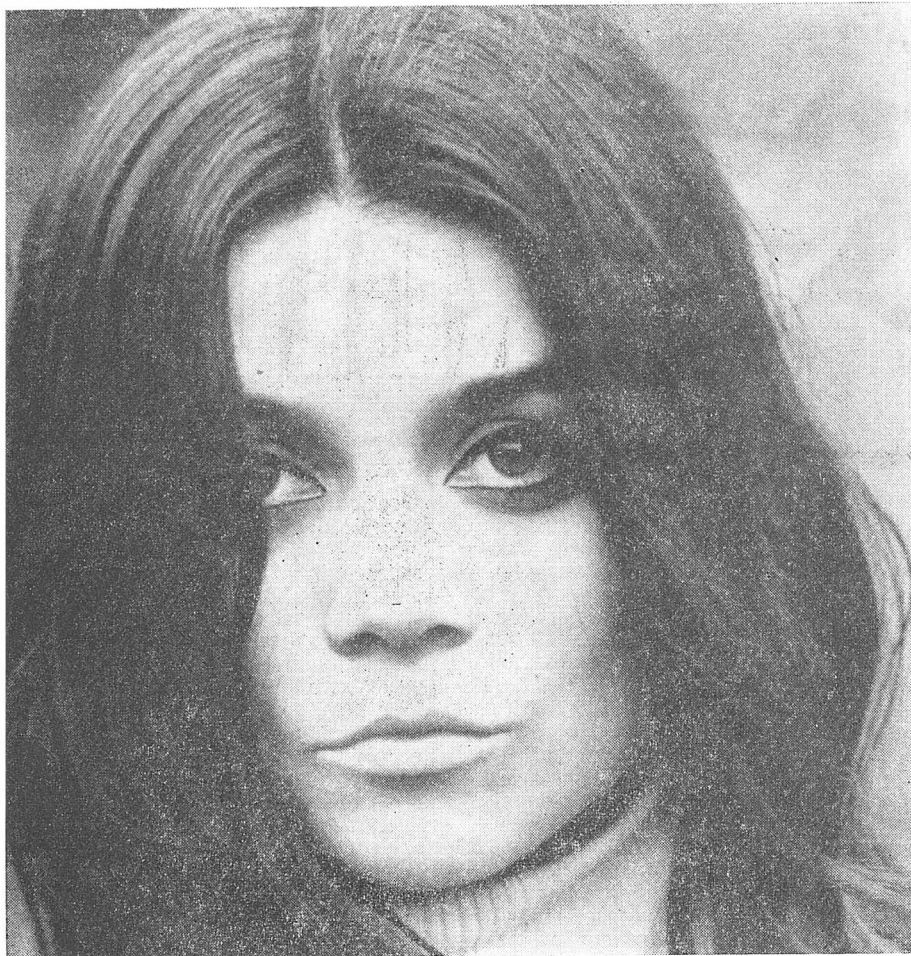
On pracował. Jego nagi, muskularny tors widoczny był teraz ze wszystkich stron. Potężny, podobny do tytana, załatwiał się szybko ze wszystkim czego się dotknął. Każdy jego gest był dokładnie przemyślany, nie czynił żadnych zbędnych ruchów. Twarz jego kamienna i groźna nie reagowała na odgłosy z zewnątrz. Mimo paraliżującego chłodu, jaki emanował z jego postaci, wydawał się nam, oglądającym go, niezmiernie piękny. Urzekał nas każdy jego ruch, mimo, iż wiedzieliśmy że zbliża nas nieuchronnie ku zagładzie. Unicestwiał wszystkie przez tysiąclecia pieczołowicie wznoszone budowle w ułamkach chwil. Chłoniliśmy zagładę naszej cywilizacji jak widowisko, czując oczyszczające działanie postępującego unicestwienia. Znaczna jednak większość tych, którzy czuli oparcie, nie była zdolna do jakiegokolwiek rozumowania. Trzymali się oni kurczowo bezwartościowego śmiecia konwencji najstarszych i obserwowali — sparaliżowani przerażeniem — jego poczynania;

olbrzymia masa nieświadomych niczego kłębiła się w bezbrzeżnej pustce nie potrafiąc już nawet odczuwać.

On tymczasem zniszczywszy wszyst-

leją śmiertelne wichry, coraz to dochodziły nas przeraźliwe wycia, szydercze chichoty, mrozące krew w żyłach jęki uwięzionych tam ciał. Gromada nas,

Fot. J. Olek



kie konwencje średnie, po raz pierwszy przerwał swoją pracę. Stał chwilę wyprostowany, z wzrokiem nieobecnym, jakby ważył nachodzące go myśli, po czym rozejrzawszy się uważnie dokoła, zachłysnął krótkim, wewnętrznym śmiechem a twarz jego ściągnięta grymasem ironii wywołała nam w pamięci kamienne maski wschodnich bóstw, mimo szyderstwa jakim były wykrzywione, tchnące przedziwną mądrością.

Stary kanon, zabezpieczający od wieków poczucie własności, rozpętał się pod wpływem jego uderzenia w tysiące kawałów tak nagle, że my nie zauważywszy żadnego ruchu jaki wykonał był, aż wzdrygnęliśmy się przerażeni. On tymczasem wpadł w szal. Nie było to już mechaniczne rozbijanie, jakie oglądaliśmy przedtem. Konwencje, które niszczył, poddawały się bardzo opornie. Odlupywał po kawałku ich wierzchnią, butwiejącą trochę warstwę, pod którą ukazywało się jądrowe; mleczno-zdrowe i granitowo-twarde. Z zapartym tchem obserwowaliśmy jego zmagania ze zmaterializowaną umownością. Walczył. Szal niszczenia pochłoniął go całkowicie. Konwencje pod naporem tytanicznej siły ulegały. Powoli, bardzo niechętnie, rozpadały się, aby w końcu rozsypać się w gruz, w pył, w nicłość. Jamy pozostałe po nich ziały przerażającą pustką i chłodem. Zdawało się nam, że w głębi ich czeluści sza-

świadomych, stłoczona na rozległej płaszczyźnie solidnej konwencji — „praca uszlachetnia” — oglądała akt ostatni ze zdumieniem. Nie byliśmy przerażeni. W dalszym ciągu produkowaliśmy różowe, pierzaste obłoczki, w dalszym ciągu czyniliśmy zakłady; sens naszej pracy był jednak żaden. Działaliśmy, bo działalność była nam przyrodzoną. Zieleni nigdzie nie było widać. Dokoła dominowały niepodzielnie czerń i pustka bezbrzeżna.

Prawa przyrody pozostawały jednak niezmiennione. Mimo, że pochłonięty niszczycielską furją, omijał je — jak nam się chwilami wydawało — z szacunkiem. Ciosom jego podlegały tylko te wytworzone przez nas. W niedługim czasie już tylko kilka konwencji wylaniało się z nicości bezwymiarowej. Ustawieni na krawędzi naszej, którą — wewnętrznie byliśmy o tym przekonani — zostawił sobie na koniec, liczyliśmy głośno kolejne unicestwienia.

Gdy cała nasza wspaniała cywilizacja rozbita została w pył, gdy unicestwienie ze stanu stawania się przeszło w stan stały, a z kosmicznej, nieogarnionej próżni wydobywał się tylko nasz, przeraźliwie samotny kanon, my stojący na jego krawędzi, nie czekając aż dosięgnie nas niszczycielska moc tytana, rzuciliśmy się w bezdenną czeluść, aby tam, w zawrotnym nie kończącym się tańcu, objani przez inne

pozbawione nadziei ciała, dokończyć naszych dni ze straszliwą świadomością, że sami oto jesteśmy temu winni i że on był tylko karzącą nas apokaliptyczną ręką, a było to tym straszniejsze, że karał nas bez jakiegokolwiek śladu zaangażowania, z wyniosłą, nieobecną twarzą, mechanicznie, nieludzko, a przecież wywodził się z naszego gatunku; wiedzieliśmy o tym.

W ostatnim obrazie jaki pozostał w naszej pamięci przed rzuceniem się w otchłań, zobaczyliśmy go stojącego w kręgu rozlewającej się dokoła czerwieni, zdawało nam się, że wypulso- wującej z niego, rozświetlającej go od wewnątrz; potężnego, z ręką wzniesioną do ostatniego uderzenia, z maską kamienną w miejscu twarzy a mimo chłodu jaki bił od niego, przykuwał pięknem i mądrością.

Tam w dole, a może w górze, bo utraciliśmy poczucie przestrzeni, poczu- liśmy, poczuliśmy się nagle przeraźli- wie nic nie znaczący; uwolnieni z ba- lastu rozsadzających nas od wewnątrz i oblepiających z zewnątrz tradycji, unosiliśmy się w nicości, a wszystko dokoła, mimo chłodu i obcości, było naturalne i niewymuszone. Pozbawieni ciężenia przesuwaliśmy się obok siebie jak bańki mydlane, lekko i z wdzię- kiem. Mimo to nie czuliśmy się naj- szczęśliwsi.

Gdzieś obok rozpadła się z lekkim trzaskiem opuszczona i nikomu już nie- potrzebna ostatnia konwencja, ostatni znak naszej cywilizacji, ostoja samot- nych i niezadowolonych z siebie; „pra- cowność”, która będąc motorem napę- dowym wszelkich poczyniń, od począt- ku istnienia „uszlachetniała” nas, aż do absurdalnego teraz końca.

Spojrzeliliśmy w jego stronę. Stał od- dalony o wieczność, otoczony czerwie- nią, bardzo nam obcy i nic w tej chwili nie znaczący; dokoła niego kłę- biły się rozsłalane ciała, których nie stać było na chłód istnienia i którym potrzebne było oparcie jakiegokolwiek. Patrzył chwilę w naszą stronę, przez jego maskę przemknął jeszcze jeden z ironicznych uśmiechów; wydał nam się mimo pulsującej z niego czerwieni jakby trochę przyszarzały i bardzo opuszczony, a potem zaczął powoli roz- pływać się, wtapiać w czerwień, sta- wać się czerwienią; kontury jego za- tracały się bardziej, aż w końcu znik- nały zupełnie.

Strefa czerwieni robiła się coraz większa. Ogromniejącą falą wchłaniała w siebie napotykaną czerń. Każdy skrawek próżni fosforyzował już wy- pełniającą go barwą. Zaczynał oto wracać pozornie utracony ład, świat zyskiwał wymiary; nowe, niemniej na- macalne, dające oparcie przynajmniej dla zmęczonych źrenic. Rozsłalały w niekonwencji ciała zyskiwać zaczęły spokój, ruchy ich stały się łagodniej- sze, bardziej precyzyjne; otucha wstę- pująca w nieświadomych popychała ich ku radosnemu rozpasaniu niepodzielnie królującą już czerwień. Wpełzali oni w czerwień, nużali się w czerwieni, biegali po czerwieni, do zupełnego zmęczenia, do ośpienia, do całkowitego jej zaakceptowania.

My, nieliczna grupa chłodno dostrze- gających, którym do przeżycia potrzeb- na była samoakceptacja człowieczeń- stwa i którzy całe bytowanie dostrzegli do tej świadomości, bez zbytniego za- pału podążyliśmy za nimi. Cóż innego zresztą nam pozostawało.

LECH ISAKIEWICZ

Wiersze

sześć wierszy niesłychanie zwięzłych

pierwszy — przewrotny
— pełen wątpliwości
i zadumy
nad sensem istnienia
jestem
— ale co?

drugi — wzniosły
o słabości
samotności
z wielkiej rozpacz
a także
okrutnym przeznaczeniu
wyschłe żdźbło trawy
— na wietrze

trzeci — radosny
o zaskakującym
wydarzeniu z którym
nie bardzo wiadomo
co począć

— szczęście!
— szczęście?
czwarty — monotony
o zniewalającej
pełni życia

— jem!
piąty — niedokończony
o potrzebie
nadziei i wiary
w najtrudniejszym
umrę — ale...

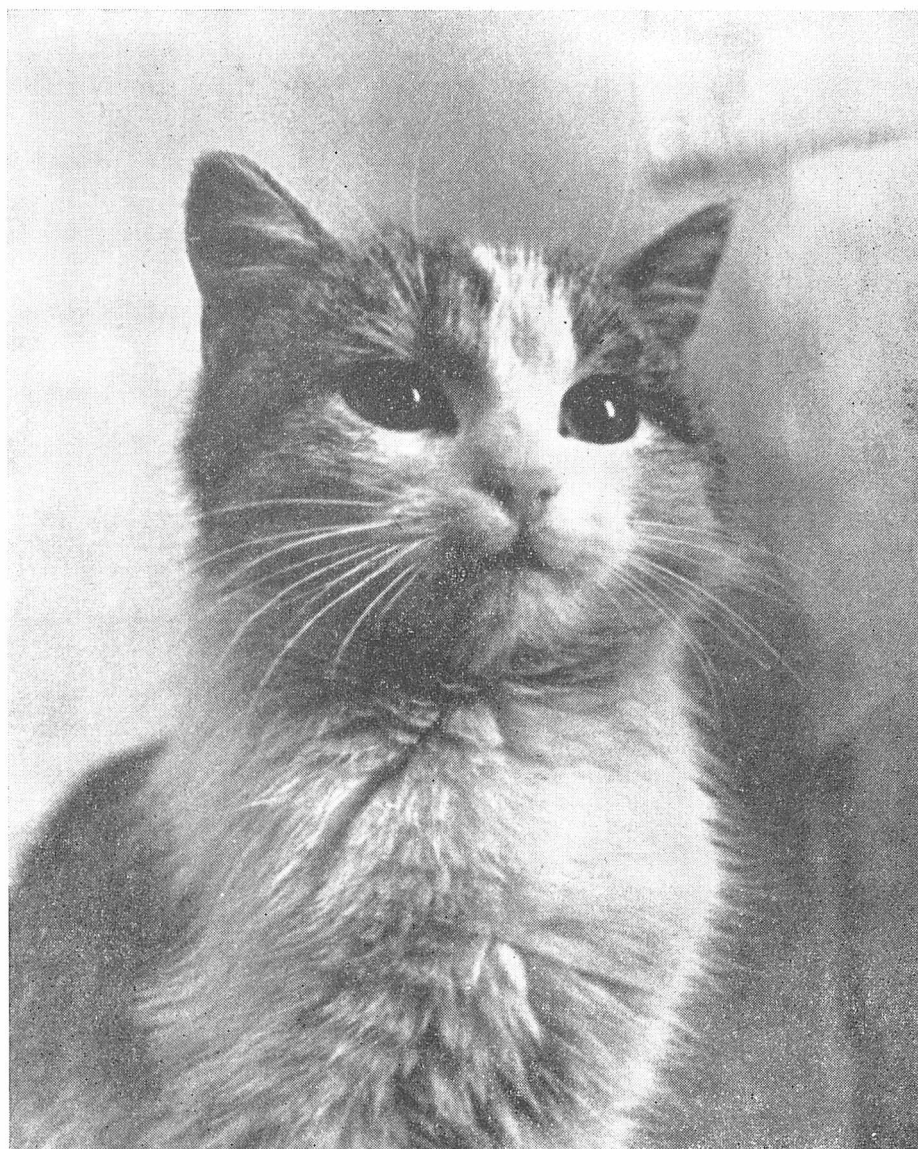
szósty — ostatni
o śmierci
— nie myślę.

krażenie

bowiem nazwać
znaczy opanować
opanować znaczy
— zapanować
zapanować znaczy
— królować
królować znaczy
— rządzić
rządzić znaczy
— krzywdzić
krzywdzić znaczy
— pokutować
pokutować znaczy
— cierpieć
— cierpienie opanować
wyodrębnić z siebie
— nazwać

pogodzenie się z drzwiami

w te drzwi stukotem siekier
wyrzeźbione z zielonego dębu
nikt nie puka
i progu zgłodniałego
nikt nie przestępuje
więc cisza jest przepastna
potrzeba zaś głosu
albo chociaż dźwięku
przenikliwa
z gór schodzą zamyśleni bogowie
— lub nie schodzą
gdy potrzeby nie ma
kozice w smutek uwikłane
stukają w porzucony werbel
potoki z rosnącym hukiem
leczą
w rozpostartą czelusć
świt przeży się nad lasem
las
przeży się bez przerwy
— jest dosyć zwyczajnie
i drzwi — też są zwyczajne



Fot. A. Zakowicz



Niby nikt nie ma pcheł, a przecież jest
ich więcej od ludzi.

*

Z nici porozumień powstała już nie-
jedna skomplikowana płatanina.

*

Biła przed nim czołem, a za nim trze-
sia kuprem.

*

Cokolwiek powiedzielibyśmy o zranio-
nym honorze, nic tak nie rani człowie-
ka jak nóż.

*

Wielka rodzina człowiecza? I te sto-
sunki — koziorodcze?!

*

Ci, którzy prowadzą się przykładnie
cnotliwie, nie bardzo mają co robić.

*

Kalendarz: zbiór aktualnych dat.

*

Z nudów — umiejętnie wykorzystując
inspirację — można dojść do wielkich
rzeczy.

*

Wyalienował się spośród żywych...

*

Dzięki ruchom tektonicznym łatwiej
schodzi się góra z górą, niż człowiek
z człowiekiem.

HENRYK JAGODZIŃSKI

Wydaje Politechnika Wrocławska. Adres Redakcji: Wrocław, Wybrzeże Wyspiańskiego 27, pok. 309, tel. 270-51 w. 240 (pocztą wewnętrzną: P9/S). Redaguje zespół w składzie: SŁAWOMIR HULANICKI, FRANCISZEK LETOWSKI, JERZY MACKOWIAK, MAŁGORZATA MICHALAK, JAN OSIŃSKI (naczelný redaktor), ANDRZEJ PEŁECH (z-ca redaktora naczelnego), ANETA SZATAN, STANISŁAWA SZULC, MARIA WÓJCICKA (sekretarz redakcji). Opracowanie graficzne: ZDZISŁAW WÓJCICKI przy współpracy Andrzeja Maleszki. Druk: WDN — Wrocław zam. 607/71, nakład 2000, form. A-4, K 15. Cena zł 2,—

